

rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

NR 13 (508) 29 MARCA 1970 R.

*Wesołego
Alleluja*

CENA 2 ZŁ

Zmartwychwstanie — mal. Jan Matejko (1838—1893).



wg św. Marka (16, 1-7)

Gdy minął szabat, Maria Magdalena i Maria Jakuba, i Salome zakupiły wonności, aby pójść i namaścić go. Wczesnym rankiem, w pierwszy dzień tygodnia, gdy słońce właśnie wschodziło, przybyły do grobowca. Mówiły między sobą: „Ktą odsunie nam kamień od wejścia do grobowca?” Spojrzawszy zobaczyły, że kamień był już odsunięty; a był on bardzo wielki. Wszedłszy do grobowca ujrzały młodzieńca w białej szacie siedzącego po prawej stronie; i przeraziły się bardzo. Lecz on rzekł do nich: „Nie bójcie się! Szukacie Jezusa Nazareń, tego, ukrzyżowanego. Powstał z martwych; nie ma go tu! Patrzcie, oto miejsce, gdzie go złożono. Ale idźcie i powiedźcie uczniom jego, a zwłaszcza Piotrowi: Przybędzie przed wami do Galilei. Tam ujrzycie go, jak wam zapowiedział“.

Z okazji Świąt Zmartwychwstania Pańskiego — życzymy Czcigodnym Księżom Biskupom, Przewielebnym Księżom Administratorom Diecezji, Wielebnym Księżom Dziekanom, Proboszczom i Administratorom Parafii, wszystkim Wiernym Kościoła Polskokatolickiego w PRL., P.T. Czytelnikom i Współpracownikom organu Kościoła Polskokatolickiego — Tygodnika „RODZINA” — obfitych łask i błogosławieństwa Bożego.

Prawdziwie radosnego ALLELUIA.

RADA
KOŚCIOŁA POLSKOKATOLICKIEGO
w PRL.

KOŚCIÓŁ W ŚWIECIE

Pięć Kościołów stara się o przyjęcie do SRK

Komitet Wykonawczy Światowej Rady Kościołów ustosunkował się pozytywnie podczas ostatniego posiedzenia do wniosków 5 Kościołów starających się o przyjęcie do SRK. Wnioski te zostaną przekazane Komitetowi Naczelnemu, który w tej sprawie podejmie ostateczną decyzję. Chodzi tu o następujące Kościoły:

1. „Kościoły reformowane” (Ge-reformeerde Kerken) Holandii. Jest to społeczność kościelna licząca 850 tysięcy członków, 1100 duchownych i 850 parafii. Kościół ten jest już członkiem Światowego Aliansu Reformowanego i Konferencji Kościołów Europejskich;

2. Kościół Braci Wschodniej Prowincji Karałbskiej. Liczy on 10 275 członków uprawnionych do przyjmowania Komunii św. Powstał w 1771 r. w wyniku działalności misjonarzy duńskich i był pierwszym Kościołem ewangelickim w Indiach Zachod-

nich. Działalność duszpasterską w tym Kościele prowadzi dziś wyłącznie duchowni miejscowego pochodzenia;

3. Kościół Unijny Papuasów z Nowej Gwinei i Wysp Salomona. Liczy 72 322 członków, 237 duchownych i 1256 parafii. Utworzony został w 1969 r. przez połączenie Kościołów powstałych przeważnie z metodystycznej i kongregacjonalistycznej działalności misyjnej;

4. Konwent Baptystów Nigerii. Liczy 75 988 członków, 539 duchownych, 455 „zorganizowanych” i 934 innych parafii. Kościół ten jest członkiem Światowego Związku Baptystów i Rady Chrześcijańskiej Nigerii;

5. Kościół Metodystów Malajzji i Singapuru. Liczy 32 255 członków, 164 duchownych i 264 parafie. Poprzednie należał do Zjednoczonego Kościoła Metodystów Stanów Zjednoczonych. W 1968 r. uzyskał autonomię. Jest członkiem Światowej Rady Metodystów, Wschodnioazjatyckiej Konferencji Chrześcijań-

skiej i Rady Kościołów Malajzji.

W 1975 r. — Zgromadzenie Ogólne Światowej Rady Kościołów

Komitet Wykonawczy Światowej Rady Kościołów, który obradował w Genewie w dniach od 16—20 lutego br. postanowił, że następne jego posiedzenie odbędzie się we wrześniu br. w NRF.

Ponadto ustalono, że najbliższe posiedzenie Komitetu Naczelnego SRK zostanie zwołane w styczniu 1971 r. w Addis Abebie (Etiopia). W 1972 r. Komitet Naczelny zbierze się w Holandii. V Zgromadzenie Ogólne Światowej Rady Kościołów odbędzie się w sierpniu, wrześniu lub październiku 1975 r. w jednym z państw Trzeciego Świata.

Przy okazji warto wspomnieć, że I Zgromadzenie Ogólne odbyło się w 1948 r. w Amsterdamie (Holandia), II — w 1954 r. w Evanston (USA), III — w 1961 r. w New Delhi (Indie), IV — w 1968 r. w Uppsali (Szwecja).

Posiedzenie Komitetu Roboczego Chrześcijańskiej Konferencji Pokojowej

W dniach 27 i 28 lutego br. odbyło się w Pradze posiedzenie Komitetu Roboczego i Sekretariatu Międzynarodowego Chrześcijańskiej Konferencji Pokojowej. Na posiedzeniu tym powierzono pełnienie obowiązków sekretarza generalnego tej organizacji, której siedziba znajduje się w Pradze, posłowi Januszowi Makowskiemu z Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego.

Na tej samej sesji postanowiono powierzyć — aż do najbliższego IV Ogólnochrześcijańskiego Zgromadzenia Pokojowego, które odbędzie się w r. 1972 lub 1973 — funkcję przewodniczącego Konferencji zbiorowemu Kolegium 7 wiceprezydentów pod przewodnictwem metropolity Nikodema z Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego.

Siedzibą ChKP jest w dalszym ciągu Praga. W skład Komitetu Roboczego i Sekretariatu Międzynarodowego wchodzi przedstawiciele Kościołów z następujących krajów: ZSRR, Madagaskaru,

Chwalmy Pana!

ZMARTWYCHWSTANIE JEZUSA CHRYSYTA

Najbardziej uroczystym momentem liturgii wielkanocnej od początków chrześcijaństwa stało się odśpiewanie hebrajskiego słowa „Alleluja”, które oznacza wezwanie: „Chwalmy Pana!” i odpowiada chyba staropolskiemu wyrażeniu: „Chwała Bogu!” Dźwięczy w nim silna nuta radości, triumfu, zwycięstwa, lecz również i wdzięczności. Dziękujemy nim Bogu przede wszystkim za jedyny w dziejach ludzkości cud zmartwychwstania Jezusa Chrystusa dokonany własną Jego mocą.

Śpiewając „Alleluja”, powtarzamy jak echo uczucia i przeżywamy wrażenia tych przyjaciół Chrystusa, których najpierw zgnębiła wielkopiątkowa klęska, depcząca wszelkie nadzieje związane z Mesjaszem, a których następnie wyniosła na wyżyny szczęścia wielkanocna wieść: „Zmartwychwstał Pan prawdziwie!” (Luk. 24, 34). Mogli z dumą teraz wołać: A jednak mieliśmy rację, wierząc Mu i w Niego. Słusznie „serce w nas paliło” (Luk. 24,32), gdy przez trzy lata mówił do nas, a myśmy chłonęli Jego naukę, jak spieczona ziemia krople deszczu. Nie zawiódł nas, jest tym, za kogo się nam podawał. Zwycięzył przeciwników swoich i naszych bronią Niebios: cudem nad cudy, zmartwychwstaniem.

Takie myśli wyraził uczniowie Chrystusa na kartach Nowego Testamentu. Przyznają się tu do zwątpienia i całkowitego załamania: „Myśmy się spodziewali, że on miał odkochać Izraela” (Luk. 24, 21). Nie myślę jednak ukrywać dumy i triumfu „Jezusa z Nazaretu, męża, którego posłannictwo Bóg potwierdził wam niezwykłymi czynami, cudami i znakami... o czym sami wiecie, tego męża, przybiliście rękami bezbożnych do krzyża i zabiliście. Lecz Bóg wskrzesił Go, zerwawszy więzy śmierci... a my wszyscy jesteśmy tego świadkami... Niech więc cały dom Izraela wie z niewzruszoną pewnością, że tego Jezusa, którego wyście ukrzyżowali, uczynił Bóg i Panem, i Mesjaszem”. — Jak wiadomo w wyniku tych stwierdzeń nie posypały się na Apostołów kamienie: słuchacze

pytali skruszeni: „Cóż mamy czynić, bracia?” (Dz. Ap. 2, 22-37). Bo to był argument potężny: Zabiliście niewinnego i to nie było kogo. Teraz On żyje. Kto miał rację? Po czyjej stronie prawda?

To robiło wrażenie i zjednywało zwolenników Chrystusa. Budziło podziw: „Widząc odwagę Piotra i Jana, a dowiedziawszy się, że są oni ludźmi nieuczonymi i prostymi, dziwili się” (Dz. Ap. 4, 13). Nie pomogły bowiem zakazy, gdyż Apostołowie odpowiadali: „Rozsądźcie, czy słuszne jest w oczach Bożych bardziej słuchać was niż Boga? Bo my nie możemy nie mówić tego, co widzieliśmy i co słyszeliśmy” (Dz. Ap. 4, 19 n.).

Wówczas też formułowała się w głowach Apostołów nauka o zbawczej roli Chrystusowego Zmartwychwstania i o związku, jaki łączy ten cud z sakramentem Chrztu. Najdobitniej wyraził te myśli Ap. Paweł. Stwierdził, że Chrystus zmartwychwstał „dla naszego usprawiedliwienia” (Rzym. 4, 25). Był przekonany, że zanurzenie w wodzie chrzcielnej symbolizuje śmierć Chrystusa, wyjście zaś z niej przypomina Jego zmartwychwstanie: „Przyjmując więc Chrztost zanurzający nas w śmierć, zostaliśmy razem z Nim pogrzebani po to, byśmy i my wkroczyli w nowe życie — jak Chrystus, który powstał z martwych” (Rzym. 6, 4) — „A Bóg będący bogatym w miłosierdzie przez wielką swą miłość jaką nas umiłował — i to nas umarłych na skutek występku — razem przywrócił do życia z Chrystusem i razem wskrzesił, i razem posadził na wyżynach niebieskich — w Chrystusie Jezusie” (Efez. 2, 4-6).

Wyraża te myśli starożytny przepiękny hymn wielkosobotni związany z ceremonią święcenia wody do Chrztu, a zaczynający się słowami: „Niech się już raduje niebiański orszak aniołów”. Śpiewa się w nim o tej Wielkiej Nocy, w której „Chrystus skruszywszy okowy śmierci, zwycięsko wstąpił z otchłani na niebiosa” i dodaje: „Lepiej by nam było się nie rodzić, gdybyśmy nie mie-

li być odkupieni”. Podziw i zachwyt brzmi w słowach: „O przedziwna dla nas łaska Twego zmiłowania! O niepojęte szaleństwo miłości: dla odkupienia sług wydałeś Syna własnego... Oto noc, o której napisano: „A noc jako dzień zajaśnieje i noc będzie mi światłością”. Światłość nocy tej wypędza zbrodnię, zmywa winy, przywraca niewinność upadłym, a radość smutnym, rozprasza nienawiści, utwierdza zgodę i godzi zwaśnionych... O prawdziwie błogosławiona ta noc, która wydarła łup szatańskim mocom, a wzbogaciła lud wierzący. Noc, w której niebiosa jednoczą się z ziemią, a boska moc udziałem staje się człowiekowi...”

Lecz przewspaniałe owoce Wielkiej Nocy Chrystusowego Zmartwychwstania posiadają ci tylko chrześcijanie, którzy szczerze i mocną wiarą Apostołów wierzą, że „zmartwychwstał Pan prawdziwie”, że tym aktem przypieczętował Swoje dzieło. Zbawienia ludzkości w porządku nadprzyrodzonym i że obowiązkiem każdego wyznawcy Jego jest „zadawanie śmierci temu, co przyziemne”, dążenie do tego, „co w górze jest” i przyoblekanie się w „nowego człowieka”, czyli takie, który będzie wiernym „obrazem” swego Stwórcy (Kolos. 3, 10).

Ks. S. WŁODARSKI

MARZEC

29	N.	Wielkanoc — Wiktora
30	P.	Wielkanocny
31	W.	Balbiny, Korneli
1	S.	Hugona, Teodory
2	C.	Franciszka
3	P.	Ryszarda
4	S.	Izydora

Węgier, Francji, Kuby, NRF, Indii, Urugwaju, Sierra Leone, Holandii, Libanu, Polski (ks. doc. W. Chedyktowicz i ks. Z. Pawlik), NRD, Bułgarii, Rumunii, Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych, Japonii, Australii, Berlina Zach., Szwajcarii i Kamerunu.

Z pobytu zagranicznych biskupów prawosławnych w Polsce

Pisaliśmy już („Rodzina nr 12 z 22 marca br.), że w intronizacji J. E. Bazylego, metropolity — zwierzchnika Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego, która odbyła się 1 marca br. w Warszawie, wzięli udział: osobisty przedstawiciel sekretarza generalnego Światowej Rady Kościołów oraz wielu wysokich dostojników różnych Kościołów Prawosławnych. W przeddzień intronizacji, 28 lutego br., goście zagraniczni złożyli wizytę w Brytyjskim i Zagranicznym Towarzystwie Biblijnym w Warszawie oraz odwiedzili Prawosławne Seminarium Duchowne. Wicem prezydentem tego samego dnia uczestniczyli w uroczystych niesporach

w katedrze św. Marii Magdaleny, a niektórzy (Serbowie i Czesi) w cerkwi na Woli.

W poniedziałek, 2 marca, goście zagraniczni złożyli wieńce u stóp Pomnika Bohaterów Warszawy oraz zwiedzili Mauzoleum Walki i Męczeństwa, gdzie złożyli wiązanki kwiatów. Następnie odwiedzili Chrześcijańską Akademię Teologiczną.

Po południu tego samego dnia, ks. metropolita Bazyli, członkowie Synodu Biskupów i goście zagraniczni zostali przyjęci przez dyrektora Urzędu do Spraw Wyznań, dra Aleksandra Skarżyńskiego. Podczas tego spotkania nastąpił ważny akt w życiu Kościoła Prawosławnego w Polsce. Doszło mianowicie do podpisania i zatwierdzenia przez Władze Państwowe nowego Statutu Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego, przygotowywanego od dawna przez Komisję Teologów i uchwalonego przez Synod Biskupów na posiedzeniu w dniu 22 lutego br. Nowy Statut bardziej uwzględnia niż poprzedni specyficzny charakter Kościoła Prawosławnego, bowiem przez powołanie do

udziału w zarządzaniu Kościołem, poza biskupami, także przedstawicielami duchowieństwa i laików, daje szeroki wyraz zasadzie soborowości tego Kościoła.

Zarówno wybór i intronizacja nowego Metropolity, jak i wprowadzenie w życie nowego Statutu, są bardzo poważnym i niewątpliwie pomyślnym wydarzeniem w życiu Kościoła Prawosławnego w Polsce.

Obchody Światowego Dnia Modlitwy Kobiet w Warszawie

Kobiety — członkinie Kościołów zrzeszonych w Polskiej Radzie Ekumenicznej od 8 lat uczestniczą aktywnie w Światowym Dniu Modlitwy Kobiet, organizowanym co roku z inicjatywą Światowej Rady Kościołów. W Warszawie, od samego początku, głównym organizatorem tego Dnia jest p. Irena Kurzewska z Kościoła Ewangelicko-Reformowanego, która tłumaczy odpowiednie teksty opracowane przez Światową Radę Kościołów i czuwa nad całością organizacyjną. 6 marca br. nabożeństwo z

okazji Światowego Dnia Modlitwy Kobiet odbyło się w Warszawie w kaplicy Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego. Głównym jego tematem była „Odwaaga” (Iz. 40). Ogółem w nabożeństwie wzięło udział ok. 100 kobiet. Zebraną kolektę przekazano Polskiej Radzie Ekumenicznej z przeznaczeniem dla osób najbardziej potrzebujących.

Światowy Dzień Modlitwy Kobiet obchodzony był również w innych ośrodkach naszego kraju.

Powstanie Kościoła Unijnego Północnej Indii

Kościół Metodystów Półn. Azji, liczący 600 tysięcy wyznawców, postanowił przystąpić do nowo utworzonego Kościoła Unijnego Północnej Indii. Poza metodystami, do Kościoła tego przystąpili: Rada Kościołów Baptystycznych w Półn. Indiach (110 tys. członków), Kościół Braci w Indiach (18 tys.), Kościół Metodystów (brytyjskiego pochodzenia — 10 tys.), Kościół Anglikański Indii, Pakistanu, Birmy i Cejlonu (340 tys.) i Zjednoczony Kościół Półn. Indii (prezbyterianie i kongregacjonalności — 188 tys.).



Widok na Jerozolimę. Z prawej strony: kościół Grobu Świętego. Pod mniejszą kopułą znajdowała się Golgota, gdzie Chrystus został ukrzyżowany. Większa kopuła wznosi się nad miejscem Jego grobu.

JEROZOLIMA

miasto męki, śmierci i zmartwychwstania Chrystusa

Dwunastu diakonom myje patriarcha nogi. Mycie nóg odbywa się w Wielki Czwartek na dziedzińcu kościoła Świętego Grobu. Zdjęcie przedstawia początek nabożeństwa. W środku grecko-prawosławny patriarcha Jerozolimy — Benedykt I. Z przodu kosztowne naczynie, które używa patriarcha podczas umywania nóg.



Co roku, w okresie Wielkanocy, jeśli wszystkich chrześcijan kierują się w stronę Jerozolimy, miejsca męki, śmierci i zmartwychwstania Jezusa Chrystusa. W ciągu około 30-wiecznych dziejów, miasto to przechodziło zmienne koleje losu, m. in. znajdowało się pod panowaniem Rzymian, Persów, Arabów, Turków i Anglików. W 1948 r. tzw. stara Jerozolima, w której znajdują się wszystkie najważniejsze miejsca święte, przypadła królestwu Jordanii, nowa część miasta została przydzielona Izraelowi. Władze Jordanii nie czyniły trudności pielgrzymom chrześcijańskim, pragnącym odwiedzić miejsca związane z ostatnimi dniami ziemskiego życia Jezusa. Dopiero od wojny czerwcowej 1967 r., gdy stara Jerozolima znalazła się pod okupacją Izraela, dostęp do niej został poważnie utrudniony.

W Ewangeliach czytamy, że Jezus, opuściwszy Wieczernik, udał się od ogrodu Getsemane, by się modlić i czekać na wrogów. Tam też został pojmany. Ogród Getsemane znajduje się u stóp Góry Oliwnej, położonej na zachód od Jerozolimy. Miejsce to było czczone już przez Apostołów i pierwszych chrześcijan. Za czasów św. Hieronima (+ 420 r.) istniał tu kościół, zbudowany na pamiątkę pojmania Chrystusa. Stojąca tu dziś Bazylika Agonii Chrystusa, pozostająca pod opieką franciszkanów, jest przeróbką poprzedniej.

Droga, którą po zasądzeniu na śmierć musiał przejść Jezus, „via dolorosa”, została uczczona w XIII w. zbudowaniem czternastu stacji, z których dziewięć powstało jako ilustracja do opowiadania Ewangelii, a pięć stworzyła pobożna tradycja. Droga ta rozpoczyna się na dziedzińcu dawnych koszar tureckich, przypuszczalnym miejscu położenia twierdzy Antonia, rezydencji Piłata. Ostatnich pięć stacji znajduje się już w zabudowaniu kościoła Grobu Świętego, cztery na Golgotie, a jedna w samym grobie.

Pierwszą świątynię na miejscu śmierci i zmartwychwstania Chrystusa kazał wznieść cesarz Konstantyn Wielki (306-337). Budowla ta składała się z trzech części: z tzw. martyrium, tj. pięciosałowej bazyliki ku uczczeniu Męki Pańskiej; z atrium, tj. kwadratowego dziedzińca, ozdobionego kolumnami, w którego obrębie znajdowało się wzgórze Golgoty, i z tzw. anastasis, rotundowego kościoła, w którym mieści się Grób Św.

Dziczło cesarza Konstantyna spalili Persowie po zdobyciu Jerozolimy w 614 r. Wkrótce potem odbudowy podjął się Modest, opat klasztoru Teodozjusza w Betlejem. Ze względu na brak środków finansowych, ograniczył się tylko do odbudowy anastasis. Z martyrium odbudował tylko kryptę z grota znalezienia krzyża. Przestrzeń między anastasis i martyrium otoczył szeregiem kolumn i kaplicami, poświęconymi tajemnicom Męki Pańskiej. W takim stanie świątynia przetrwała do r. 1009, w którym to kalif egipski Hakim nakazał zniszczyć ją całkowicie. W wyniku tego pozostały tylko resztki samego Grobu. Wprawdzie wkrótce potem (1048) cesarz bizantyjski Konstantyn IX Monomach przystąpił do odbudowy kościoła Grobu Świętego, ale zbudowany w nim Grób nie był już prawdziwym grobem Chrystusa. Tylko przez małe otwory można było u dołu oglądać skałę, nad którą się wznosił. Był to już trzeci kościół na tym miejscu.

15 lipca 1099 r. wkroczyli do Jerozolimy krzyżowcy. Tego samego wieczoru udali się na teren Golgoty. Ponieważ głównym celem ich wyprawy — jak twierdzili — była obrona Grobu Świętego przed niewiernymi, przystąpili niezwłocznie do renowacji tego sanktuarium. Najpierw musieli rozstrzygnąć problem, czy wiernie odtworzyć budowlę Konstantyna, czy też poprzestać na renowacji kościoła Monomacha. Wybrano drogę pośrednią, mianowicie Grób i wzgórze krzyża objęto tą samą budowlą. Do rotundy dodano boczna nawę ustawioną w kierunku wschodnim, zakończoną prezbiterium na wzór katedr francuskich w tamtych czasach. Budowla krzyżowców przetrwała do 1808 r., kiedy to pożar zniszczył rotundę Grobu Świętego. I znów na starych fundamentach bazyliki Konstantyna wzniesiono nowy kościół — piąty z kolei. Tym razem nie była to już monumentalna pierwotna bazylika. Wewnątrz rotundy, zamiast dawnych smukłych filarów, ustawiono kolumny znacznie masywniejsze. W środku rotundy wzniesiono małą kaplicę Grobu. Ma ona 8 m długości, 5 m szerokości i 5 m wysokości. Ściany zewnętrzne i wewnętrzne powleczono marmurem.

Przez wąskie drzwi wchodzi się do małego przedsionka, zwanego Kaplicą Anioła, przypominającego pierwotny przedsionek Grobu. Prowadzą z niego drzwi do właściwej komory grobowej. Prawą stronę zajmuje ławka skalna z wydrążeniem, w którym chowano Zmarłego.

Kopuła wznosząca się nad Kościołem Grobu została zbudowana w 1869 r. Po trzęsieniu ziemi w 1927 r. zastąpiono ją podobną.



Druga, którą ongiś szedł Jezus na Golgotę, przebiega krętą uliczką starej Jerozolimy. Do niedawna, dziesiątki tysięcy pielgrzymów z całego świata przemierzają w Wielki Piątek tę trasę w skupieniu modlitewnym. Wyprzedzał je olbrzymi krzyż z drewna.

Nabożeństwo wielkanocne w jednej z kaplic należących do kościoła Grobu Świętego.



Po raz pierwszy w wolnej Polsce

W aktach Departamentu Wyznań przedwojennego Ministerstwa Wyznań i Oświecenia Publicznego, pod rokiem 1920 znajduje się dokument wskazujący na to, jak wrogi dla Kościoła Narodowego endecki rząd Drugiej Rzeczypospolitej patrzył, i jak oceniał pierwszy pobyt założyciela PNKK, ks. biskupa Franciszka Hodura, przed pięćdziesięciu laty. Oto co m.in. czytamy w tym dokumencie:

„W granicach Rzeczypospolitej bawi od niedawna ksiądz ex-rzymskokatolicki, obecnie biskup Polsko-Narodowego Kościoła w Ameryce, Hodur. Przybył on zza oceanu w towarzystwie najwybitniejszego swego pomocnika i współpracownika, ks. L. Grochowskiego, w celu poczynienia kroków przygotowawczych ku przeniesieniu na grunt ojczyzny idei szczepionej dotychczas tylko w Nowym Świecie, na terytorium północnych Stanów wielkiej republiki amerykańskiej, a także w Kanadzie. Kościół Narodowy stanowi organizację religijną, która prowadzi wśród emigrantów polskich wyteżoną propagandę i liczy kilkadziesiąt tysięcy zwolenników. Stanowią oni masę zwartą, dobrze zorganizowaną i pod względem uświadomienia narodowego stojącą na dość wysokim poziomie...”

„Przed dziesięcioma dniami biskup Hodur przybył wraz z ks. Grochowskim ze Lwowa do Warszawy. Stara się on tutaj nawiązać stosunki ze stronnictwami lewicowymi; ich opozycyjne stanowisko wobec kleru katolickiego czyni z nich w mniemaniu biskupa Hodura jego naturalnego sojusznika i pozwala mu liczyć na znalezienie energicznego poparcia do swych zamierzeń. Odbył on kilka konferencji z wybitniejszymi przedstawicielami lewicy chłopskiej i inteligencji radykalnej, a nawet znalazł drogę na posiedzenia „Wyzwolenia”, na których wyłożył przyczynę powstania i cel Kościoła Narodowego. Skutek, jaki pierwsze kroki biskupa Hodura odniosły na gruncie Warszawy, należy uznać za pomyślny dla jego sprawy. Co prawda nie uzyskał on, na co może liczył, poparcia żadnego stronnictwa jako takiego, ale iniejątywa jego spot-

kała się u wielu działaczy ludowych z przyjęciem sympatyzującym, które daje mu pewność pomocy i współdziałania, kiedy wstąpi na drogę czynu. Jak zapewnia biskup Hodur, Kościół Narodowy jest instytucją ściśle religijną, pozbawioną wszelkiej fizjonomii politycznej, która skupia przy wspólnym ognisku kapłanów i wiernych najrozmaitszych przekonań i przynależności partyjnej...”

„Na gruncie amerykańskim Kościół Narodowy znajduje oparcie w świeckiej organizacji, która pod nazwą „Polsko Narodowa Spójnia” przeciwstawia się pozostającemu pod kierownictwem kleru rzymskokatolickiego „Związkowi Polskiemu”. „Spójnia” jest typowo amerykańską organizacją, która pod zewnętrzną formą towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń wykreśla sobie jednocześnie cele społeczne, polityczne, kulturalne, gospodarcze, nawet towarzyskie. Co pewien czas odbywają się zjazdy delegatów od poszczególnych filii „Spójni” (sejmy), na których zapadają m.in. rezolucje w sprawach polityki międzynarodowej.. Organ tygodniowy „Spójni”; „Straż”, okazuje żywą sympatię dla działalności nowych stronnictw ludowych i „Piaś”, i „Wyzwolenie”. Przeciwno stronnictwom narodowej demokracji występuje bardzo ostro, potępiając politykę ich zarówno w kraju, jak i na emigracji. Propaganda za podpisaniem pożyczki państwowej znalazła na łamach „Straży” jak najlepsze poparcie. Podczas swej podróży agitacyjnej w Stanach Zjednoczonych pan Sieroszewski korzystał wszędzie z najdalej idącego poparcia „Spójni”, która widziała w nim nie tylko pisarza w wielkim stylu, ale także i nade wszystko „rycerza walczącego o niepodległość Polski”...

Cytowany dokument niechętnego biskupowi Hodurowi urzędnika jest wyrazem zainteresowania władz politycznych Kościołem, który zagroził spokojnemu bytowi episkopatu rzymskokatolickiego.

Biskup Franciszek Hodur przybył po raz pierwszy do Ojczyzny w lipcu 1920 r. Jego przyjazd zapowiedziało posełstwo polskie w Bernie szwajcar-

skim pismem z dnia 1 czerwca 1920 r. adresowanym do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, przy czym nie omieszkało dodać tonem apokaliptycznym, że celem przyjazdu biskupa Hodura jest „podobna do ewangelickiej w XVI w. reformacja oparta na amerykańskich emigrantach”. Gdy MSZ przekazało ten raport Ministerstwu Wyznań Religijnych i OP., otrzymało pod datą 10 września 1920 r. odpowiedź, że nic nie wie o biskupie. Ażeby zatrzeć tę ignorancję, MSZ przesłało do M.W.R. i O.P. dowód w postaci rzymskokatolickiego tygodnika „Lud Katolicki” z dnia 19 września 1920 wychodzącego pod patronatem kurii tarnowskiej, a nazywanego przez MSZ „miarodajnym źródłem”. Tygodnik ten, opisując koronację „cudownego” obrazu Matki Boskiej w Zawadzie, zacytował obszerny fragment kazania biskupa tarnowskiego Leona Wałęgi, który przestrzegał słuchaczy m.in. przed „schizmatycznym i heretyckim kościołem tzw. narodowym” zakładanym w Polsce przez „nieszczęśliwego odstępcę od wiary, niejakiego Hodura, który fałszywie tytułując się biskupem, niedawno przybył z Ameryki z zamiarem obrania za pierwszy teren swej bezbożnej działalności diecezji tarnowskiej...”

Godne podkreślenia jest zakończenie pisma Ministerstwa Spraw Zagranicznych do Ministerstwa Wyznań R. i O.P. z dnia 20 września 1920 r.: „Propaganda na rzecz polsko-narodowego katolickiego kościoła nie leży bynajmniej w interesie państwa polskiego. Dlatego też na działalność biskupa Hodura i jego pomocników w Polsce należy zwrócić pilną uwagę władz zarówno rządowych, jak i kościelnych”. Najwidoczniej uzależnienie katolickiego życia religijnego od Watykanu, czynniki oficjalne Drugiej Rzeczypospolitej już od początku uważały za kamień węgielny państwowej niepodległości, a więz z Watykanem była tak mocna, że Kościół Polskokatolicki otrzymał państwową legalizację dopiero po drugiej wojnie światowej.

Ks. S. Włodarski

OFIARY NA SZPITAL — POMNIK CENTRUM ZDROWIA DZIECKA W WARSZAWIE

W lipcu 1968 r., z inicjatywy Pierwszego Biskupa Księdza Dr. Leona Grochowskiego, delegacja Polskiego Narodowego Katolickiego Kościoła przekazała na ręce min. Janusza Wiczorka, czek na kwotę dwóch tysięcy dolarów na budowę Szpitala—Pomnika Zdrowia Dziecka w Warszawie.

Obecny Pierwszy Biskup r Tadeusz Zieliński zaapelował do Duchowieństwa i Wiernych Polskiego Narodowego Katolickiego Kościoła o dalsze kontynuowanie zbiórek na powyższy cel.

W dniu 1 marca br. w Domu Żołnierza w New Yorku, przedstawiciele nowojorskiej Polonii przekazali Konsulowi Generalnemu PRL w Waszyngtonie panu Kazimierzowi Ciasłowi, kolejny czek w wysokości tysiąca dwustu dolarów. Podczas akademii przemawiał m.in. ks. Jan Jakubik, Senior Polskiego Narodowego Katolickiego Kościoła — senioratu New York — New Jersey.

Nowojorski Komitet zamierza przekazać na ten cel dalszych ziesięć tysięcy dolarów.

W dniu 23 lutego br., na konto czekowe Szpitala—Pomnika Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie, w imieniu Diecezji Warszawskiej i swoim Biskup Tadeusz R. Majewski przekazał kwotę zł 5.283,70 i jednocześnie zaapelował do Duchowieństwa i Wiernych Diecezji Warszawskiej o dalsze nadsyłanie ofiar.

Podobne akcje zbiórkowe zostaną przeprowadzone na terenie Diecezji Wrocławskiej i Krakowskiej. Tak więc cały Kościół Polskokatolicki w PRL oraz Narodowy Katolicki Kościół w Stanach Zjednoczonych AP i Kanadzie przyłoży swoją skromną cegiełkę do budowy Pomnika—Szpitala Centrum Zdrowia Dziecka i tym samym da wyraz swego społecznego zaangażowania.

PRZECIWKO MARTWYM REGULOM

Pogłębiające się spory wokół sprawy celibatu duchownych rzymskokatolickich weszły ostatnio w nową fazę. Kuria rzymska, która po wystąpieniach kleru Holandii zdawała się skłaniać początkowo przynajmniej do podjęcia dyskusji, zademonstrowała swoje nieprzejednane stanowisko, tchnące tradycyjnym konserwatyzmem.

Oto 9 lutego br. Kongregacja dla spraw Duchowieństwa zarządziła, by corocznie podczas liturgii Wielkiego Czwartku księży uroczyste potwierdzali przed swymi biskupami wolę cnotliwego bezżennego życia w posłuszeństwie wobec kościelnych przełożonych.

Jednocześnie w liście Pawła VI do Sekretarza Stanu, kardynała Villot, z dnia 2 lutego br., silnie zaakcentowano stanowisko, że się nie zamierza bynajmniej zrezygnować z zasady formalnego zobowiązania księży do życia w ścisłym celibacie, chociaż można się zgodzić na „lokalne” wyjątki.

Te ostatnie wydarzenia dodały jeszcze bodźca dyskusjom, toczącym się w kręgach teologów i działaczy katolickich krajów zachodnioeuropejskich i ujawniły zaostrej się udział między zwolennikami liberalizacji i szermierzami starych schematów Watykanu, coraz wyraźniej oddalających się od potrzeb życia.

Trwający od kilku lat ferment na wydziałach teologicznych uniwersytetów NRF znalazł swoje jaskrawe odbicie w rezolucji 84 teologów młodszej i średniej generacji, jednomyślnie domagających się swobodnego dialogu z Rzymem właśnie na temat celibatu. Wśród popierających powyższą rezolucję najliczniej reprezentowani są przedstawiciele starego uniwersytetu w Tybindze z historią bogatą w dysputy teologiczne i filozoficzne o niemałym znaczeniu dla całej myśli katolickiej.

Grupa profesorów teologii uniwersytetu w Tybindze dała zdecydowany wyraz swoim poglądom w czasie rozmowy z przedstawicielami prasy niemieckiej. Zaatakowano ostro przede wszystkim Watykan w sprawie dorocznego ponawiania przez duchownych ślubów czystości. Stwierdzono, że stosowanie tej reguły sprowadza nawet księży starszych, o poważnym doświadczeniu duszpasterskim do roli dzieci, odnawiających przy pierwszej komunii w wieku 8—9 lat, śluby składane uprzednio w ich imieniu przy chrzcie przez rodziców chrzestnych. Zobowiązanie do życia w celibacie nie ma zresztą nic wspólnego z problemem wiary, jak przy chrzcie, ale nosi jedynie charakter dyscyplinarnego przepisu i tak już dostatecznie zabezpieczonego

w prawie kościelnym. Poważna grupa teologów nie widzi żadnych formalnych podstaw do przestrzegania nowego polecenia papieskiego, stanowiącego dalszy krok w walce przeciwko wszelkim próbom organizacyjnej reformy samej struktury Kościoła Katolickiego.

W ostatnich tygodniach zaczyna w niektórych kręgach europejskiego kleru i inteligencji katolickiej przeważać pogląd, że w referowanym już na łamach naszego pisma stanowisko biskupów holenderskich w sprawie celibatu, nie kryje się bynajmniej chęć jawnego oddzielenia się od całości Kościoła rzymskiego. Wręcz przeciwnie — to w Watykanie zdaje się wyrastać tendencja do wyolbrzymienia niebezpieczeństwa schizmy po to, aby można było ewentualnie odciąć „chorą gałąź” i zapobiec w ten sposób „zarażeniu się” całego organizmu przybierającymi na sile prądami reformatorskimi.

Episkopat NRF zamierza wśród wszystkich księży katolickich tego kraju rozpisać ankietę w sprawie stosunku do sprawy celibatu.

Według ostrożnych przewidywań, wśród tych, którzy w ogóle zdobędą się na odwagę udzielenia odpowiedzi, większość wypowie się prawdopodobnie za zniesieniem zasady ścisłego powołania kapłaństwa i bezżennstwa.

Wpływ podtrzymywania zasady celibatu na spadek ilości kandydatów do stanu duchownego, potwierdza następująca analiza: gdy przed 20 laty około 90 proc. studentów teologii aspirowało do funkcji duchownego, to obecnie zaledwie 1/3 ogólnej ilości studentów tego wydziału wykazuje chęć poświęcenia się tej służbie, z tego jeszcze blisko połowa rezygnuje przy końcu studiów ze swych zamierzeń. Duża grupa teologów nie tylko niemieckich, ale również francuskich zaczyna obecnie z tego powodu przejawiać opinię, że w interesie całości Kościoła należy dopuścić do wykonywania czynności duszpasterskich zarówno księży żonaty, jak i niezonaty, oceniając ich jedynie według powołania i zdolności. Lapidarnie sformułowali to teologowie z Tybingi: „Decydujące dla stylu życia księdza jest nastawienie na wypełnienie posłannictwa Jezusowego. Dla tego mogą być księży żonaci i niezonaci, tacy, dla których kapłaństwo jest jedynym zawodem i tacy, dla których stanowi ono powołanie, realizowane dodatkowo obok zawodu zasadniczego.”

Już dziś można więc w sumie z całą pewnością stwierdzić, że rozwijająca się dyskusja wokół problemu celibatu, niesie ze sobą elementy ożywczego prądu odnośnie organizacyjnej struktury katolicyzmu, sprzyjające oparciu służby duchownej, duszpasterskiej, na rzetelnym powołaniu, na rzeczywistym oddaniu sprawom wiary i dobru ludzkości. Schematyzm papieżstwa stanowi na tej drodze niewątpliwą przeszkodę.



Matka Boska

BRANDT

końcu Rembrandta aby zaferował jeden ze swoich obrazów pewnemu panu w Hadze. Obraz został zakupiony za 100 guldénów. Sprzedaż pierwszego obrazu zachęciła Rembrandta do tym intensywniejszej pracy. Malował coraz więcej portretów i obrazów, między innymi powstało wtedy kilka arcydzieł o tematyce religijnej. Jednym z najciekawszych — stanowiących do dziś niedościgniony wzór w malarstwie stał się obraz JUDASZ SKRUSZONY oddający kapłanowi srebrniki za które został sprzedany niewinny Pan. Gest jednego z zapakowanego Judasza (nie mówiąc już o innych postaciach na tym obrazie) oszalełego, zawodzącego i błagającego o łaskę, którego twarz wyraża nadzieję, mimo że sam nie spodziewa się łaski — wstrząsa do głębi swoją prawdą i realizmem utworzonego przeżycia. W odtwarzaniu twarzy, postaci i doborze kostiumów Rembrandt nie miał równego sobie. Umiejętność tę posiadał z uważnej obserwacji rozmaitych namiętności, stanowiących przyczynę wydarzeń dających się rozpoznać w wyrazie twarzy lub poruszeniach ciała.

Uznanie dla sztuki Rembrandta zyskiwało mu nie tylko coraz liczniejszych wielbicieli, ale przede wszystkim dostarczało wiele zamówień na portrety i inne obrazy. Większość z nich pochodziła z Amsterdamu i dlatego Rembrandt zdecydował się w roku 1630 przenieść do tego miasta. W Amsterdamie otrzymał pierwsze, wielkie, publiczne zamówienie na portret grupowy, który w XVII wieku był jednym z częstszych tematów malarstwa holenderskiego. Różne ugrupowania (w późniejszym okresie przekształcone na kluby towarzyskie) zamawiały grupowe portrety swoich członków. Taki portret, spełniający rolę dzisiejszej fotografii, zawieszano na honorowym miejscu w sie-

dzibie danego stowarzyszenia. Obraz, którego wykonania podjął się Rembrandt nie był wizerunkiem korporacji, ale pewnej grupy i nosił nazwę „Lekcja anatomii dr. Nicolausa Tulpa (1632)”. Rembrandt za podstawę kompozycji obrazu przyjął więc psychiczną łączącą słuchaczy z wykładowcą, a odzwierciedloną w koncentracji uwagi słuchających na słowach i gestach wykładowcy. Była to pierwsza próba indywidualnego rozwiązania przez Rembrandta zagadnienia portretu grupowego.

Rok 1632 stał się początkiem nie mniej ważnych wydarzeń w życiu osobistym malarza. Właściciel sklepu z antykami, przyjaciel Rembrandta, zamówił u niego portret swojej siostrzenicy dwudziestoletniej młodej dziewczyny Saskii Van Uylenborgh. Przez wiele dni Saskia pozwała Rembrandtowi i znajomości ta zakończyła się wkrótce małżeństwem. Klienci musieli długo czekać na wykonanie dalszych zamówień. Saskia, już jako żona, pozwała Rembrandtowi do dalszych portretów i obrazów, a Rembrandt był szczęśliwy gdy mógł malować, był szczęśliwy gdy Saskia — największa i jedyna wielka miłość jego życia — była w pobliżu. W tym okresie Rembrandt znajdował się u szczytu powodzenia — miał stawę, pieniądze i szczęście rodzinne. Trzydzięty dom, do którego przenieśli się wkrótce, zapelniał dziełami sztuki i zbytku obypując ukochaną żonę kosztownymi i cennymi podarkami. Byli szczęśliwi i szczęścia tego ani on, ani Saskia wobec grona licznych przyjaciół nie ukrywali. Niestety blask powodzenia, sławy i miłości zamąciły po pięciu latach cienie śmierci. Zmarło troje dzieci — pozostał tylko jeden syn, mały Tytus. Rembrandt portretował teraz często żonę z dzieckiem myśląc zawsze o nich obojgu, o życiu i pracy dla swej rodziny. Wydawałoby się, że łatwo jest być

szczęśliwym mając talent, odwagę i chęć do pracy. A przecież Rembrandt mógł i tworzył stale nowe dzieła, tworzył tak jak mu kazała jego genialna wrażliwość artystyczna, wypracował własny styl ujawniając poraż pierwszy w swoim malarstwie grę światła i cienia. W tym czasie jednak malarz coraz częściej spotykał się z niezrozumieniem i zawiścią swoich przeciwników. Nie zwracał na to uwagi, myśli jego były zajęte Saskią, która od dnia urodzenia syna Tytusa była coraz słabsza i ciężiej chora. I znowu śmierć zapukała do drzwi — zmarła Saskia (1642 r.) pozostawiając Rembrandta samotnego i załamane-go z maleńkim synkiem.

Duch twórczy silniejszy był od najgłębszej nawet rozpacz. Rembrandt oddał się teraz całkowicie pracy. Malował wiele godzin dziennie, wypełniając farbami płótno za płótnem, a w wolnych godzinach zajmował się ukochanym synkiem. W tym ciężkim okresie powstał nowy portret zbiorowy „Straż Nocna” (właściwie „Wymarsz strzelców”). Cech bractwa strzeleckiego, który zamówił go u malarza nie był zadowolony z wykonania portretu. Rembrandt wprowadził bowiem do niego nową konwencję — akcję i niejednako zaakcentował poszczególne osoby. Dynamiczny, pełen zgiełku i niepokoju obraz nie spodobał się mieszkańcom Amsterdamu.

Od tego czasu zaczął się rozdziewiek pomiędzy Rembrandtem a holenderskimi odbiorcami i stopniowy upadek malarza. Rembrandt osamotniony i zdziwaczały po śmierci ukochanej żony nie starał się o podtrzymanie dotychczasowej pozycji. Przestał być modnym malarzem portretów, pojawiły się kłopoty pieniężne, trzeba było wyprzedawać drogocenne przedmioty, sprzedać dom, a nawet w ciężkiej potrzebie grobowiec zakupiony dla Saskii. Rembrandt związał się z Hendrickje Stoffels, która wychowywała jego dziecko, ale chociaż ją poślubił nigdy w jego sercu nie zajęła miejsca Saskii.

W latach samotności malarz odsunął się od ludzi, nie podtrzymywał bliższych stosunków z przyjaciółmi, humanistami i uczonymi. Oddał się całkowicie swojej sztuce w której pogłębiał problematykę religijną i moralną szukając dla niej nieznanym dotąd środków wyrazu. Stał się mistrzem barw, których sztukę posiadał w najwyższym stopniu i coraz bardziej indywidualnie posługiwał się światłem.

Dalsze ciosy życiowe — śmierć drugiej żony i ukochanego syna Tytusa w wieku 27 lat, nie były w stanie załamać drogi twórczej wielkiego malarza. Pozostała mu jego wielka sztuka, jego wielka pasja malarska, która uczyniła go najwybitniejszym artystą malarzem świata. Rembrandt zdobył dla malarstwa wewnętrzny świat człowieka, był wielkim psychologiem, a największym obiektem dla badania przeżyć i ekspresji był sam dla siebie. Dziesiątki autoportretów opowiadają nam najlepiej o życiu, problemach i przeżyciach wielkiego malarza, są wspaniałymi dokumentami samoanalizy.

W ostatnim roku życia Rembrandt podjął temat „Syna Marnotrawnego”, który zakończył jego twórczość ewangeliczną przypowieścią. Obraz ten był ostatnim wyznaniem mistrza, tragicznym i stanowiącym wielką i smutną refleksję. Ostatnią myślą o życiu starego i zmęczonego Rembrandta.

4 października 1669 r. Rembrandt zakończył życie. Jego spuścizna malarska pozostała nieśmiertelnym wkładem do całości kultury świata, a obrazy o tematyce religijnej pełne głębi psychologicznej, nasycone barwą i światłem pozwoliły na zbliżenie i zrozumienie przez wielu ludzi ważnej i trudnej historii przeszłości biblijnej.

DANUTA IWANOWSKA

Do najświetniejszych dzieł, jakie zna muzyka światowa należy monumentalna kompozycja, której drugą część kończy radosne, potężne i jakże znamienne — także dla jej twórcy — Alleluja. Tworzył ją człowiek w momencie, gdy sądził, że przegrywa ostatecznie walkę o swoje ideały. Niezbądane są jednak wyroki Boże. Dzieło obrazujące wielką muzyką dzieje ziemskiej wędrówki Chrystusa, stało się sprawdzianem różnych wartości. Stało się też niewyczerpanym źródłem późniejszego życia artysty, który w imię bezkompromisowej prawdy, borykał się z ziemskimi ułomnościami, „brudkami i brudami”, swoich „wysocę urodzonych” bliźnich. Tym dziełem to „Mesjasz”, oratorium Jerzego Fryderyka Haendla. Oratorium swobodnie tę formę nazywając operą-dramatem na estradzie, posługiwało się wielu kompozytorów najróżniejszej rangi, od XVII w. po współczesność.

Oratorium — tu konieczna jest większa dygresja. — Łacińska nazwa oratorium oznaczała pierwotnie tylko miejsce modlitwy, kaplicę. Od początku XVII w. posługuje się nią muzyka. I tak oratorium, oznacza w muzyce jedną z trzech wielkich form wokalnoinstrumentalnych, inaczej się wyrażając — form, w której występują soliści, chór lub chóry i orkiestra symfoniczna, form, do których zalicza się operę i kantatę. Każda z tych trzech rodzajów kompozycji inną ma historię i innymi rządzi się prawami, zmieniającymi się na przestrzeni lat. Oratorium, to dzieło muzyczne, którego osnową literacką są fragmenty Pisma Świętego. Przebieg akcji i sytuacje dramatu komentuje recitativem solista-śpiewak, określany mianem „historicus” lub „ewangelista”. Nastroj i tło wydarzeń maluje dźwiękami orkiestra. Pełni ona jakby rolę teatralnej scenografii. Soliści to symboliczni wyraziciele myśli i uczuć osób oratoryjnego dramatu. Chór lub chóry przedstawiają lud, który nie tylko żywo uczestniczy w wydarzeniach i komentuje je, lecz jest także inspiratorem działania.

Oratorium. Haendla „Mesjasz” składa się z trzech części. Pierwsza relacjonuje narodziny Chrystusa, druga rozważa jego mękę i zmartwychwstanie, trzecia niesie wieść o odkupieniu. Mesjasz to kompozycja, która

od dnia premiery czyli od dwustu osiemnastu lat jest wykonawczym wydarzeniem. Kiedy powstała? Kim jest jej twórca?

„Jego charakter silny, świeży, świetny, prosty, idzie zawsze drogą zdrowego rozsądku i nie zbroi się nigdy w bezczelną zuchwałość.”

(Sère de Rieux)

Jerzy Fryderyk Haendel urodził się w roku... . tak zaczyna się każda biografia. Rok, w którym on przybył na świat jest filarem w historii muzyki. Rok 1685. to data przybycia na świat dwóch geniuszów, których życie toczyło się różnymi koleinami losu, a którzy wytyczyli nowe drogi muzyce europejskiej. W tym roku urodzili się bowiem Jan Sebastian Bach i Jerzy Fryderyk Haendel. Haendel przeżył Bacha o dziewięć lat. Cieszył się na obczyźnie kontrowersyjną sławą. W swej ojczyźnie, w Niemczech, znalazł się po wielu latach dobrowolnej emigracji właśnie w dniu śmierci Bacha, geniusza żyjącego w cieniu światowych sensacji. Nie spotkali się osobiście nigdy. Zmierzch życia obydwu artystów był podobny. Zaćmiło go straszne kalectwo, ślepotą.

Jerzy Fryderyk Haendel, wielkie niedźwiedzisko — tak zwali go współcześni z powodu zwalistej cielesnej powłoki — pozostawił gigantyczną spuściznę. Psycholodzy rozważając życie artysty zastanawiają się nad przedziwną równowagą psychiczną człowieka gnębionego chorobą, niedostatkami, nostalgią i ciągłą walką o dobrą muzykę. Człowiek ten tworzył dzieła pogodne a nawet wesołe. Dotkliwą samotność rekompensował przyjaźnią i szczerobliwością wobec najbliższych sobie istot, opuszczonych dzieci biednych muzyków. Nie tylko izolacja spowodowana kalectwem lecz serdeczne zainteresowanie się niedolą innych zrodziły tę wielką dramatyczną siłę, która przepaja fragmenty wszystkich jego utworów.

Oto w największym skrócie życiorys kompozytora.

Jerzy Fryderyk Haendel urodził się 23.II. 1685 r. w Halle, z ojca Ślązaka. Miał po-

święcić się zawodowi prawnicemu, wybrał muzykę. Początkowo to posada organisty w rodzinnym mieście. Następnie Hamburg Tam będąc skrzypkiem i dyrygentem — klawesynistą w operze „ujrzał na scenie pierwszą swą operę „Almira”. Lata młodzieńcze, to wędrówka po Italii, znacząca wystawieniem oper, w Wenecji i Florencji, z oratoriów i kantat w Rzymie i Neapolu. Następnie powrót do Niemiec i stanowisko kapelmistrza na dworze elektora Hannoveru. Tu następuje zerwanie kontraktu i samowolny wyjazd do Londynu, miejsca zwrotnego dla twórczości, dobroczynnego działania, uporczywej walki, klęsk i ostatecznego późniejszego zwycięstwa. W Londynie dwadzieścia lat kierował instytucją „opery włoskiej” — teatrem, którego celem był dotąd komercjalizm, a podbudową niewybredny smak bywalców. Wiele jego sił ten teatr zniszczył. Praca Haendla kończyła się dwukrotnie bankructwem, grożąc w konsekwencji więzieniem za długi. Chcąc mimo wszystko utrzymać poziom teatru Haendel pisał coraz to nowe opery (w sumie jest ich ponad czterdzieści), tworząc również wiele świetnych dzieł innego rodzaju, koncertów, kantat, oratoriów i utworów organowych.

Po koniec lat trzydziestych siedemnastego stulecia, gdy na wykonaniach arcydzieł jak oratoria, koncerty i kantaty sala ziała pustką, a krytycy rzucali oszczerstwa w jadliwych pamfletach, załamany artysta postanowił wrócić do Niemiec. Ale w roku 1741 nadeszło zaproszenie na koncerty ze stolicy Irlandii, Dublin, od lorda-namiestnika. Koncerty te dawane tam były wyłącznie na cele dobroczynne. Haendel przyrzekł „coś ze swej najlepszej muzyki” i skomponował Mesjasza, zaledwie w dwudziestu dwóch dniach. Irlandczycy przyjęli to dzieło entuzjastycznie. Haendel nie zezwolił na opublikowanie go drukiem aż do swej śmierci. Dochody z wykonań przekazał w Dublinie — sierocińcowi, który uzyskał monopol wykonań Mesjasza.

Współcześnie przybrana ojczyzna nie doceniła mistrza. Dopiero po śmierci Angliki potrafili uczcić artystę. Obcokrajowca pochowali w grobach królewskich w Westminster.



1



2



3

1. Jerzy Fryderyk Haendel — miedzioryt J. Houbracena (1738 r.).
2. Statua w ogrodach Vauxhall — model terakotowy L. F. Roubillaca (1738 r.).
3. Grobowiec w Westminster Abbey — rzeźba w marmurze L. F. Roubillaca (1760 r.).



Pierwsze wiosenne kwiaty

Niebaczni na kalendrzowe terminy i naukowe ustalenia witamy nadejście wiosny po swojemu, świętujemy jej przyjście w pewnym wybranym dniu zupełnie niezależnie od tego czy za oknem zaczyna deszcz ze śniegiem czy też zielono-słoneczny świat obwieszcza, że nasze zimowe udręki dawno już się skończyły.

Takim powszechnym dniem — symbolem jest Wielkanoc, zupełnie niezależnie od daty, w której to ruchome święto przypada.

Skąd się to u nas bierze? Czy tylko upodobanie do tradycji i zwyczajów?

Tegoroczna zima rozpoczęta zamiecią wydawała się przetrastać nawet naszą wytrzymałość. Pierwszy raz od lat doszło do tego, że niektóre województwa ogłosiły stan klęski żywiołowej. Zasypane drogi, utrudniony transport i komunikacja, bezkresna biel pokrywająca kraj i ścieżki tunele wśród zasp, mogły zalać najodporniejszego. Już nie mogliśmy się doczekać końca tego stanu, już irracjonalnie traciliśmy nadzieję, że nasze oczekiwanie ma sens.

To oczekiwanie wiosny narasta w nas przecież już od Bożego Narodzenia wraz z przedłużającym się dniem. Wzmaga się przez styczeń, trwa w lutym, by na przełomie lutego i marca wybuchnąć niecierpliwością. Już dość, już nie możemy dłużej czekać! Mierzają nas grube, ciepłe ubrania, dokuczają konieczność przebywania w zamkniętych pomieszczeniach.

Chciałoby się gdzieś iść przed siebie i szukać tropów nadchodzących zmian, a tu za oknem śnieg i szare chmury, śnieg z deszczem i wichura...

Dom nie daje ukojenia. W jesieni kusił „ciepłym kręgiem domowej lampy”, mamił przytulnością rodzinnych wieczorów, a teraz wszystko to stało się jedynie nudą i koniecznością. Ze smutkiem śledzimy wzrokiem nastroszone, zmarznęte ptaki, wraz z nimi i z całą przyrodą pragniemy otrząsnąć się z zimowego bytowania i wreszcie zacząć żyć w słońcu.

Któregoś dnia nagle słońce na moment rozprasza chmury, zagląda w nasze okna, lśni w lodowych soplach i myślimy, że to „już”, że się wreszcie zaczyna, ale porywisty podmuch wiatru sypie nam w twarz mokrym śniegiem, ciężkie chmury szczelnie zwierają się by ukryć słońce i wydaje się że już niema nadziei, że tak będzie zawsze.

Wtedy to, pojawia się natchmiaszt nazwa—symbol, radosne, wiosenne Święta Wielkiejnocy. Przed naszymi oczyma jak na taśmie filmowej przewijają się szeregi przeżytych wielkanocnych świąt. Puszyste różowe bażki w glinianym dzbanku, biały baranek pośród kolorowych pisanek na kopczyku zielonej „runi”, sztywne, uroczyste hiacynty, stół przybrany barwiczkiem, promień słońca załamujący się w szkle i zapach. Cóż może się równać z zapachem Wielkanocy? To święto pachnie świeżością, pierwszymi zielonymi kiel-

kami, chłodem pierwszych białych kwiatów — pachnie wiosną. Czyż może więc zabraknąć wiosny na Wielkanoc skoro to święto szeroko otwiera jej wrota i w naszym pojęciu rozpoczyna ją, ostatecznie niwecząc zimę?

I już nie straszne stają się kaprysy marca. Przed nami Wielkanoc, a więc wiosna nadchodzi. Napewno i nieodwołalnie. Dni i noce gonią jedne, drugie toczą się szybko, coraz prędzej, a my krzątamy się gorączkowo, spieszymy, denerwujemy — bo czasu mało, a święta tuż tuż.

A pewnej nocy budzi nas głośny szum. To nadlatuje wiatr — wiosenny i gwałtowny, poczęty daleko w górach, który rozpędzi zwały spiętrzonych chmur i wreszcie ukaże nam niebo.

Przez całą noc wiatr huca za oknem, stukają okiennice, trzeszczą przycinane do ziemi drzewa, coś jęczy i dzwoni, coś wzdycha głęboko... A rano śpiewa woda w rynnach, ciurka rozgłośnie z dachów, a młode słońce zwycięsko walczy ze śniegiem. Wszędzie woda. Małe i duże strumienie rwą chodnikami, brodzimy w kałużach, leje się nam za kołnierze z każdego dachu i daszku, autobusy niby amfibie rozpryskują wokół fontanny — ale jakoś to nas nie złości.

Przystajemy przed domami, zwracamy blade twarze ku słońcu i uśmiechamy się bez powodu — a może właśnie z powodu nieśmiałej radości, która się w nas poczęła. Głęboko wciągamy powietrze i chcemy czuć, że pachnie ono rozmiękną ziemią, wiatrem i wodą.

Na rogach ulic pojawiają się nagle okutane babiny, które wyciągają ku nam delikatne, ledwie rozpełkłe bażki, a na wystawach kwaciarni ustawiono różowe i białe, sztywne hiacynty.

A więc to już! Nadzieja staje się rzeczywistością. Wszystko się nam splata i wiosna i wielkanocne porządki i pierwsze wiosenne podmuchy i wyrosnięte baby. Budzimy się z zimowego odrętwienia i zanurzamy w

wir przedświątecznych przygotowań.

Niby ma to być wierność tradycji i obyczajom, ale w rzeczywistości, podobnie jak ważki, chcemy zrzucić sztywną starą skorupę i rozpocząć inne, nowe życie...

To nie tylko świeżo umyte okna, nakrochmalone, sztywne firanki, mieszkanie lśniące i pachnące czystością, nie tylko kuszące zapachy i kolorowe pisanek — to nieśmiała ale przemożna chęć by zrzucić z siebie to, co tłumilo i krępowało nasze porywy, i raz jeszcze zacząć od nowa.

Nie wiadomo kiedy budzi się w nas wiara, że jeszcze jest czas, że możemy odciąć się i odwrócić od tego co było w nas złe, że można wszystko odrobić. Na chwilę, na moment sprawy nabierają właściwych proporcji. Wyolbrzymione problemy maleją, a zasadnicze wydają się możliwe do udźwignięcia. Narasta w nas chęć by zwrócić się z przyjaznym uśmiechem do drugiego człowieka, by przekazać mu swe odkrycie, że w każdym nieudanym życiu zawinił brak porozumienia, że jeśli tylko spróbujemy odnaleźć się wspólnie, my ludzie, jeśli zechcemy zrobić przyjazny krok ku sobie — wszystko potoczy się inaczej.

Nie pozwólmy zgasnąć temu porywowi. Nie obawiajmy się, że ten drugi człowiek przyjmie nasz przyjazny gest wzruszeniem ramion, że poczyta nam go za słabość, czy podstęp. Uwierzmy sobie i jemu. Może on także przeżywa to samo i tak samo jak my waha się i niepokoje? Może czeka na nasz gest, bo jemu zabrakło odwagi? — Zróbmy więc pierwszy krok.

Wyciągnijmy rękę, by przy świątecznym stole wśród bazi i pisanek nie zabrakło nam najważniejszego — drugiego człowieka, który podobnie jak my pragnie odrzucić wszystko złe i nieudane, a rozpocząć nowe — w atmosferze zrozumienia i bliskości innych ludzi.

Pozwólmy zakwitnąć pierwszym wiosennym kwiatom. Dbajmy, by nie zwarzył ich wiosenny przymrozek.

HABER



z wśród Syryjczyków, Libańczyków, Jordanińczyków i mieszkańców Iraku.

IDEALNI KURIERZY

Ostatnio baza rekrutacyjna została znacznie powiększona. Dobilł do niej Niemcy z NRF. Szwajcarzy, Włosi i Anglicy. Handlowcy są idealnymi kurierami, ponieważ ich normalna praca wymaga długich podróży, co stanowi doskonałe usprawiedliwienie odwiedzenia wszystkich zakątków świata, nawet kilka razy w roku. Często werbuje się też studentów, dla których perspektywy bezpłatnych dalekich podróży i dobrego wynagrodzenia stanowią kuszącą zachętę. Zanim nowi przewoźnicy zostaną przyjęci, podlegają różnym próbom i badaniom; pyta się ich jaką pracę wykonywali przedtem i dlaczego z niej zrezygnowali i rzecz najważniejsza, czy ich nazwiska nie figurują w kartotekach policyjnych, ponieważ jest niesłychanie ważne, aby do przewoźnika mieć całkowite zaufanie.

W tym „interesie” przestępca nie ma czego szukać, a syndykaty nie życzą sobie ludzi z podejrzaną przeszłością. Poza tym, wszystkim wiadomo, że w kołach syndykatów istnieje prawo, które karze bardzo surowo nieuczciwych, tzn. tych, którzy uciekli z przewożonym złotem. Po pomysłynie przeprowadzonym egzaminie poddaje się przewoźnika próbom polegającym na tym, że przez 5 do 6 godzin nosi pod koszulą kamizelkę z płótna zagłowego, w której kieszeniach znajdują się kilogramowe lub pół-funtowe sztabki złota w kształcie tabliczek czekolady lub pudełek do zapalek. W kamizelce takiej można przewieźć 40 kg złota. Ćwiczenia te są niezbędne i długotrwałe ponieważ minie sporo czasu zanim przewoźnik będzie umiał normalnie się poruszać, mając kamizelkę na sobie. Wkładanie tej kamizelki wygląda tak samo, jakby na rycerza średnio-wiecznego nakładano zbroję. Jeden z dawnych przewoźników, który jest obecnie szanowanym kupcem w Hongkongu, opowiadał, że gdy po raz pierwszy nałożył na siebie taką kamizelkę obciążoną tylko 20 kg złota, czuł się jak „Eby za chwilę miał skończyć pod tym ciężarem”. Najczęściej w czasie pierwszych podróży towarzyszy przewoźnikowi doświadczony przemytnik, służący mu radą i pomocą.

Istnieją na świecie różne metody wykrywania przemytników złota. Najprostszą z nich jest zainstalowanie automatycznych wag w miejscu, gdzie przechodzi się do okienka, w którym pokazuje się paszport. Gdy np. niewielkiego wzrostu człowiek waży 100 kg, urzędnik obserwujący wagę natychmiast alarmuje władze celne. W Ameryce problem ten został rozwiązany w inny sposób — mianowicie poprzez aparat do wykrywania złota, o nazwie „tracerlab”. Aparat ten pierwotnie służył naukowcom. Jest przenośny i wyposażony w urządzenia tranzystorowe oraz w izotop radu, który wysyła promienie gamma, a gdy te natrafiają na złoto, wracają w postaci promieni rentgena. Promienie te przechodzą przez urządzenia filtracyjne i zostają zarejestrowane w liczniku Geigera. Jeśli aparat stwierdzi obecność złota — wydaje gwizd. Celnicy japońscy na lotnisku w Tokio posługują się tego rodzaju aparatem, który jednak nie gwizdże i nie daje znać przemytnikom, że zostali odkryci.

Aby oszukać władze graniczne i celne, przemytnik musi posiadać 8 do 9 paszportów, wszystkie na jego autentyczne imię i nazwisko... Rzecz w tym, aby zataić przed władzami częstotliwość przyjazdów do danego kraju i miejscowości, udokumentowanego licznymi wizami. Przez odpowiednie podstawianie paszportów można np. raz w tygodniu przyjeżdżać do tego samego państwa i ten sam paszport pokazywać tylko 3—4 razy w roku. Idealne rozwiązanie stanowi posiadanie paszportu dyplomatycznego, co gwarantuje niekontrolowanie bagażu osobistego. Wielu dyplomatów krajów środkowo-bliskowschodnich, jak również afrykańskich, uzbierało sobie w ten sposób piękny majątek. Znany handlarz z Hongkongu powiedział, że zna dyplomata filipińskiego, który przyjeżdża tu około 30 razy w roku.

Marzeniem syndykatu złota jest jednak oficjalna państwowa wizyta jakiegokolwiek króla lub prezydenta niedużego państwa afroazjatyckiego w Indiach, Pakistanie lub na Dalekim Wschodzie. Cała świat posiada liczne bagaże, które nie podlegają żadnej kontroli. Jeśli nawet celnicy wiedzą, że połowa tych bagaży wyladowana jest złotem, nie ośmielają się do nich zaglądać, by nie zakłócić harmonii przyjaznych dyplomatycznych stosunków.

Poważna gra w złotych kamizelkach

Według słów jednego z indyjskich celników przemyt jest cudowną sztuką — ponieważ może w ciągu jednej nocy biedaka przemienić w bogacza. A warto wiedzieć, że rocznie 200 milionów złotych dolarów omija indyjską komorę celną. Ale za każdą uncję złota, która przedostanie się (przecieknie) — dana jest inna, która przez tajemne kanały światowego przemytu płynie do Brazylii, Japonii, po południowego Wietnamu czy też Jemenu lub Kambodży. Żadna chyba droga nie jest tak dokładnie znana, jak odcinek który prowadzi z Dubai do Indii, nie mniej jednak przemytnicy w rzeczywistości zmieniają ją z dnia na dzień — zależnie od głosów polityków czy też celników kontrolujących ten odcinek.

Właściwie cała ta historia przemytu złota wygląda na wielką kpinę z władz i rozporządzeń. Muzułmańscy pielgrzymi powracający z Mekki do Pakistanu rozdrabniają złoto na drobne kawałeczki i chowają je, przy przejściach granicznych, w ramach rowerów lub w puszkach skondensowanego mleka. Tak samo zresztą pofalowane luźno indyjskie sari, czy też buddyjski turban stanowią doskonały schowek dla złota; znane są też przypadki przewożenia maszyn do pisania, z czcionkami szczerzotłymi.

Jeden ze szmuglerów przewoził złoto z Filipin układając je w wąskich cieniułkach paseczkach na całym ciele, przymocowując je do ciała plastrami aptecznymi, gdyż małe kawałki były znacznie łatwiejsze do przewiezienia. W kołach przemytniczych dużo opowiada się o tym, że kobiety mogą przewozić dwa razy tyle złota co mężczyźni. Wprost trudno sobie wyobrazić, na jakie pomysły wpadają szmuglerzy.

Niezależnie od złota o wartości 150 mln dolarów, które rocznie przepływa z Dubai do Indii, dalsze 50 mln przecieka do Indii innymi drogami. Miejscowe rynki Środkowego Wschodu i Afryki przyjmują rocznie 100 mln dolarów, zapotrzebowanie Dalekiego Wschodu wynosi ponad 100 mln dolarów. Ameryka Południowa przyjmuje rocznie złoto o wartości 60 mln dolarów, pochodzące z rynku londyńskiego i kanadyjskiego, do tego dochodzi własna produkcja o wartości 26 mln dolarów, która w dużym stopniu przechodzi przez ręce szmuglerów. Ponieważ jest to poważna stawka, przemyt złota nie jest interesem dla „fuszerów”.

W rzeczywistości mamy do czynienia z siatką, opanowaną przez 5 wielkich syndykatów, rozporządzającą setkami agentów, siatką ściśle kontrolowaną i skutecznie zarządzaną.

Trzy spośród tych syndykatów mają swoją siedzibę w Bejrucie i zajmują się dostawami na Środkowy Wschód, do Afryki i na Daleki Wschód. Jeden z mniejszych syndykatów ma swoją siedzibę we Francji i zajmuje się przemytem europejskim, robiąc jednocześnie interesy z Indiami i Dalekim Wschodem. Ostatni z „wielkiej piątki” jest odpowiedzialny za Amerykę Południową — również i ten syndykat posiada kontakty z Dalekim Wschodem. Największą część kapitału, jak również inspiracja i kierownictwo, znajdują się w rękach Syryjczyków, Greków i Żydów.

NA WYSOKIM SZCZEBLU

Struktura organizacyjna każdego syndykatu złota jest tak samo prosta i opiera się na tych samych zasadach, co struktura organizacyjna każdego dobrze prowadzonego przedsiębiorstwa. Na czele stoi szef, którym jest najczęściej Syryjczyk. Pracuje on dyskretnie, ukryty za kulisami wielkiej gry, on to właśnie stwarza plany, organizuje kontakty na wysokim szczeblu, jak również zajmuje się problemami zakupu i sprzedaży złota. Jeśli na przykład wylaniają się jakieś poważne problemy w Japonii czy Hongkongu, to szef znajduje się natychmiast na pokładzie samolotu i na miejscu szuka najlepszych rozwiązań. Jego załoga (sztab) pracuje zazwyczaj w pięciu różnych krajach i obserwuje sytuację rynkową, aby „boss” mógł w każdej chwili wykorzystać dobrą passę. Szef musi też dbać o to, aby na jednym rynku nie znalazło się na raz zbyt dużo złota, ponieważ mogłoby to doprowadzić do obniżki cen. Bardzo rzadko też przewozi sam złoto i zazwyczaj zachowuje się niezwykle „korrekt” — np. w Indiach będzie kładł nacisk na to, by skrupulatnie wymienić w banku swoje czekki, nie chcąc przeważnie mieć nic do czynienia z „czarnym rynkiem” dewizowym. „Boss” łamiący tę regule potwierdza jej wartość.

ZA FASADAMI WIELKICH BIUR

Każdy proces syndykatu posiada zazwyczaj trzech „adiutantów”. Jeden z nich odpowiada za księgowość; zadanie jego polega na dopilnowaniu, aby należności za złoto były regulowane jak najszybciej. Musi on być ekspertem rynku dewizowego, a jednocześnie musi znaleźć nowe metody otrzymania pieniędzy (należności) z kraju w którym akurat władze odkryły kanał, przez który przerzucano pieniądze. Musi on też ściśle współpracować z wiceprzewodniczącym, odpowiedzialnym za aranżację podróży. Jest on chodzącym rozkładem lotów wszystkich prawie linii lotniczych i potrafi natychmiast wynaleźć trzy różne drogi, którymi można by przerzucić np. do Tokio pewną ilość złota. W Bejrucie przemytnicy miesięcznie wykupują bilety lotnicze wartości około 300 tys. dolarów.

Wiceprzewodniczący musi być w dobrych stosunkach z wszystkimi „managerami” towarzystw lotniczych, a w razie czego musi umieć tak napuścić jednego na drugiego, aby jeszcze uzyskać rabat. Najchętniej pracuje on za „fasadami wielkich biur podróży”. Trzeci z adiutantów to szef kadry, który jest odpowiedzialny za werbunek i wykształcenie przewoźników złota. Zazwyczaj każdy syndykat utrzymuje „stajnię” takich przewoźników, złożoną z 50—100 ludzi, do tego dochodzą jeszcze agenci w tych miejscach zbytu, do których przywozi się złoto. Pierwotnie gros przewoźników rekrutowało się



BATIKOWANE PISANKI i SZPILKOWANE KRASZANKI



Kiedy spostrzeżesz w kioskach barwne karty świąteczne ozdobione rysunkami przedstawiającymi zajaczkę i pisankę, gdy w oknach kwaciarni pojawiają się pierwsze hiacynty, a w switrynach Cepelli wystawiają kosze malowanych jajek — niechybny to znak, że zbliża się Wielkanoc. W ostatnich dniach wielkiego tygodnia na warszawskie targowiska ściągają, w kolorowe wesołości poubierane, kobiety z białostockiejszy i łowickiego. W ogromnych wiklinowych koszach prezentują pochodniom przesłanicznym „łowar”: setki zielonych, fioletowych lub, jak mówią na Mazowszu — „modrych” pisanek.

Zwyczaj malowania wielkanocnych jaj jest tak dawny, że uważamy go za wybitnie polski. Tymczasem rzecz ma się zgoła inaczej, gdyż... już w starożytności, sztukę malowania jaj naprawdę znano, a wzmianki o tym znajdujemy nawet u Owidiusza. Niemniej jednak w Polsce jest również dawny. Świadczą o tym wykopaliska z terenu Opola, pochodzące z drugiej połowy X wieku. Trudno jest na tej podstawie uważać, iż pisanekarstwo datuje się od tego właśnie okresu. Być może, że zwyczaj ten znany był na słowiańszczyźnie już wcześniej. Jeszcze dawniejsze są „pisanki”: gliniane, zrobione na podobieństwo jaj i stosowane w ludowej magii.

W czasie prac archeologicznych natrafiono na całe skupiska skorup jaj. Znajdowano je w okolicy domów, wokół ognisk na ulicy. Prawdopodobnie spełniały więc jakąś funkcję magiczną, odgrywały w obrzędach jakąś doniosłą rolę. Może jajko stanowiło ofiarę złożoną duchom opiekuńczym domu i ogniska? Wia-

domo, że jajo, źródło nowego lecz ukrytego życia — miało ogromne znaczenie w dawnych wierzeniach. Może więc to nowe życie ofiarowane duchowi miało zaskarbić jego łaski? Chyba tym właśnie należy tłumaczyć zakopywanie jaj pod belką wschodniej ściany domu, w pobliżu progu, pod legarem ulicy.

W Kronikach Kadłubka znajdujemy takie oto zdanie, świadczące i o charakterze sarmatów i o ich obyczajach. „Polacy z dawien dawna byli zawistni i niestali, bawili się z panami swymi jak z malowanym jajkami”. Czyżby więc chodziło tu o ową zabawę „w bitki”, polegającą na tym, że dwaj zawodnicy uderzają wzajemnie swoimi pisanekami jedną o drugą, a wygrywa ten, kto stłucze jajko przeciwnika, zabawę, która przetrwała np. w Krakowskim.

W naszych czasach jeszcze używa się na wsi, zamiast farb otrzymywanych na drodze chemicznej — barwników naturalnych. Jajko ugotowane w łupinach cebuli nabiera koloru jasno brązowego, w szafranie — żółtego, w brzyzlii czerwonego lub różowego i takie jajka w jednolitym kolorze zwie się „kraszankami”. Natomiast „pisanki” to jajka pomalowane w różne wzory: w krogutki, sosenki, kurze łapki — w zależności od regionu kraju.

Zdobieniem pisanek zajmują się głównie dziewczęta, rysując na niepomalowanym jeszcze jajku przeróżne wzory. Do rysowania (lub w gwarze ludowej „pisanie”) i stąd właśnie pisanek używają szpilek, igieł, słomek lub patyczków. Porysowane rozpuszczonym woskiem jajka, zanurza się w farbie, która nie pokrywa

powoskowanych miejsc, otrzymuje się więc jajko w biały wzór. Zabieg ten powtarza się kilkakrotnie, rysując nowe serie ornamentów na zabarwionej już powierzchni jajka, które należy wkładać bez usuwania wosku do coraz to innego barwnika. Dopiero po zakończeniu opisywania i uzyskaniu właściwego ornamentu, odtapia się wosk, a jajko, by było błyszczące, naciera się tłuszczem. Jest to tzw. metoda „batikowa”. Z tą najstarszą techniką wiąże się zwykle najciekawsze wzory regionalne.

Inna metoda tzw. szpilkowa polega na wydrapywaniu na pomalowanej uprzednio powierzchni jajka — wzorów. Jajko pokryte białym wzorem, zanurza się do farby odmiennej niż ta, którą jest ono pokryte. W ten sposób na kolorowym tle otrzymuje się kolorowy wzór. Zabieg taki powtarza się tyle razy ile barw ornamentu pragnie się otrzymać.

Bardzo piękny — niestety obecnie już zanikający był zwyczaj toczenia pisanek na grobach zmarłych i oddawania tych jaj biedakom. Z tego obyczaju wzięła się dziecięca zabawa „kulganina” w czasie Wielkanocy jaj na trawie i krakowski obyczaj zwany „rękawką”.

Podobnie jak barwa również i wzory pisanek pozostają od dziesiątków lat niezmiennie i właściwie dla regionu, z którego pisanek pochodzą. Tak więc np. w powiatach augustowskim i suwalskim wyodrębniają się pisanek, których wzór składa się jak gdyby z przecinków gęsto obok siebie narysowanych, w kolorach białym i czarnym. Natomiast pisanek podlaskie są niezwykle kolorowe, utrzymane

w barwach żółtych, czerwonych, pomarańczowych. Wzór ich składa się z ornamentów roślinnych, gałązek i jodełek.

W czasie organizowania regionalnych konkursów pisanekarskich obserwuje się bardzo interesujące zjawiska. Mianowicie: wiadome było, że zwyczaj malowania pisanek zachował się głównie na wschód od Wisły, natomiast w okolicach takich jak Dolny Śląsk i woj. koszalińskie zwyczaj ten praktycznie nie istniał. W związku z migracją ludności, po ostatniej wojnie, ruchem repatriacyjnym lub osadniczym, zaobserwowano, że ludność, która te ziemie obecnie zamieszkuje przeniosła ze swych regionów tradycyjną technikę i ornamentykę pisanekarską i tak np. ludność zamieszkująca obecnie pow. wołowski, Miastko Koszalińskie, maluje wielkanocne jajka we wzory... podolskie o motywach rumuńskich.

Tyle więc o pisanekach. Pozostaje jeszcze jedno zagadnienie z nimi związane. Otóż podobnie jak wiele innych dziedzin sztuki ludowej, do których malowanie pisanek zalicza się jest ono zwyczajem już zanikającym. Wiąże się to, z przemieszczeniem ludności miast i wsi, przewartościowaniem pojęć w zakresie ziółnictwa oraz faktem, że młodzież wiejska nie docenia tego typu artystycznej twórczości. Należy więc, jak w wielu podobnych wypadkach, zdać się na patronat Cepelli i nie martwić się, że pewnego dnia, zamiast owych autentycznie pięknych ludowych pisanek sprzedawanych przez wieśniaczki z białostockiego — zaferują nam wydmuszki z jajek poklepane kolorowymi szmatkami.



PRZEPIS NA WIELKANOCNE BABY



Zawsze w czasie pieczenia wielkanocnych bab i mazurków, bywa w niektórych domach istne urwanie głowy. O to by ciasto dobrze wyrosło martwią się gospodynie, by wreszcie nie miało zakalca itp., a krzyku przy tym, polajonek nie szczędzą domownikom. Ale i drzewiej bywało podobnie, oto wypis staropolskiego listu z roku 1687, w którym to światły, a nieobecny w domu małżonek, radził swej polowicy w jaki to niezawodny sposób uda się jej wielkanocny wypiek.

„Drugi Aprilis Anno 1687. Wiem miła Jaguleńku, że teraz mozolisz się nad pieczywem, a że rok temu widziałem jakieś się ambarasowała, a ja anni currenti na święta nie będę w Warszawie, przeto bardzo cię obliguję, abyś przy pieczeniu placków na Wielkanoc nie była takiej cholery jak to bywało illo tempore. Bowiem jeśli dobra gospodynica chce, aby jej pieczywo było i smakowite i chędożne i piękne, tedy niech wy-

pędzi z siebie wszelakie cholery a będzie wesola, bo na pewno złościcy nie uda się ciasto. Chcesz mieć piękne placki a wszystkim służebnicom dajesz placki na policzki, i ty się gniewasz a i one zakwaszone, a mając sińce pod oczami od ciąglego płaczu psują zamiast pomagać. Przeto upraszam cię Jaguleńku, bądź wesola, sama dawaj baczenie i sama obejrzyj drożdże, szafran i wszelakie specjaly, a przeczytaj też obserwacje naszej ciotki o plackach — urządz za wczasu wszystko i nie frasuj się.

Przybędę ja na Przewodnią Niedzielę i skosztuję waszeczne specjaly, a rad będę gdy usłuchasz mej rady. Całuję wszystkie twoje piękności i ścisłkam Jendrułka i Basie...” No, chyba nic dodać, nic ująć z tej staropolskiej epistoły. Tylko spokoj i pogoda ducha i za wczasu przygotowane przyprawy dają i dziś gwarancję dobrego ciasta.

K. S.

LEKARZ RADZI

Wytnij ten kupon. Opisz dokładnie sprawę w liście do redakcji, a otrzymasz bezpłatną poradę lekarską.

WIOSNĄ CZUJEMY SIĘ ZMĘCZENI...

Są dwa czynniki wywołujące wczesnowiosenne zmęczenie. Pierwszy to niedobór witamin, a szczególnie witaminy C. W okresie zimy jadamy za mało surówek — witamin naturalnych, a szczególnie ten niedobór wyraźnie odczuwają ludzie palący. Palacz więcej niż człowiek niepalący potrzebuje witaminy C, a jej brak odczuwa specjalnie wyraźnie wiosną. Drugim czynnikiem jest zmiana rytmu biologicznego, którą niesie ze sobą wiosna. Nowe bodźce zaczynają działać, dzień się wydłuża, noc skraca, słońce operuje dłużej i silniej, wieją mocne wiosenne wiatry, ciśnienie atmosferyczne gwałtownie się zmienia. Do tych zmienionych warunków nasz organizm musi się przyzwyczaić, a zanim to nastąpi czujemy się źle. Wyjątkowo przykro przeżywają przedwiosennie metereopaci — czyli osoby specjalnie wrażliwe na wpływ pogody, i zmiany klimatyczne.

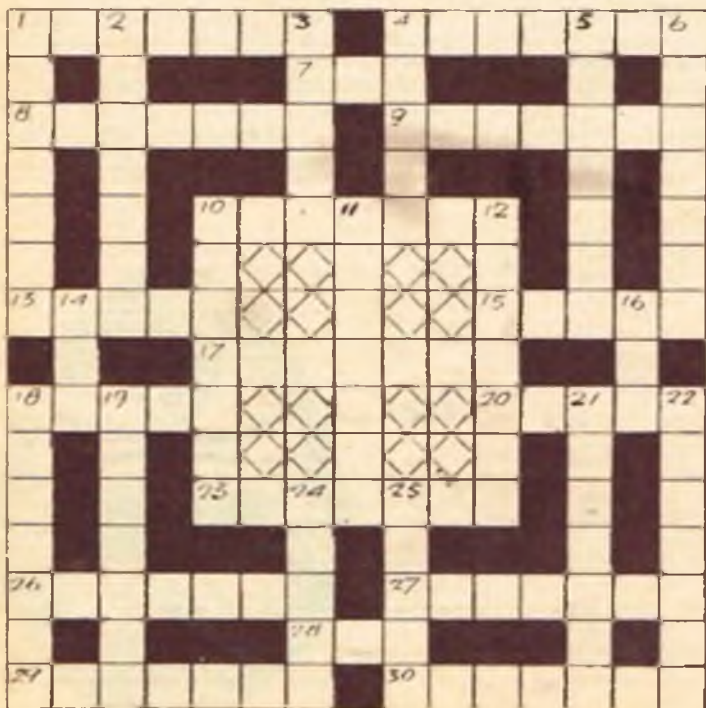
Co robić by jak najszybciej przebrnąć przez ten nieprzyjemny okres wiosennego kryzysu? Rady są nietrudne.

Po pierwsze: koniecznie dotlenić nasz organizm. Nie bacząc na złe samopoczucie radzę codzienny, godzinny spacer, choćby wracając z pracy do domu, czy wieczorem po kolacji. Idziemy równym, sprężystym krokiem,

dosyć szybko i staramy się głęboko oddychać, równając rytm oddechu z rytmem kroków. W myśli liczymy do sześciu wciągamy powietrze, liczymy ponownie do sześciu wstrzymując oddech i znów licząc do sześciu powoli wydychamy powietrze z płuc. Po paru ćwiczeniach nauczymy się, prawidłowo i wypoczynkowo oddychać!

Po drugie: jedzmy dużo witamin! Już są nowalijki: sałata, szczypiorek, zielona pietruszka. Niech więc każdy posiłek zawiera choć trochę zieleniny. Ale to jeszcze mało! Jesteśmy przyzwyczajeni przyjmować witaminę C w tabletkach, jako środek zabezpieczający przeciw grypie, a tymczasem witamina C ma również działanie przeciwzmęczenia i właśnie na przedwiosniu powinniśmy zażywać codziennie profilaktycznie i leczniczo 2—3 tabletki witaminy C, lub używać „Glucowit”. Trzecim środkiem przeciwzmęczeniu są kąpiele solankowe. Jeśli mamy łazienkę sprawa jest zupełnie prosta: 2—3 razy w tygodniu bierzemy kąpiel niezbyt gorącą, dodając do wody pół kilograma soli kuchennej. Jeśli nie mamy możliwości kąpeli wówczas co rano, lub wieczór robimy zmywanie całego ciała, przy pomocy rękawicy możliwie dość szorstkiej, letnią wodą z dodatkiem łyżki soli na litr wody. Taki zabieg regeneruje i pojedrnia skórę i świetnie wpływa na samopoczucie.

Lekarz



KRZYŻÓWKA NR 10 (55)

PÓZIOMO: 1) szacunek, poważanie, 4) wrzenie, niepokój, zaburzenie, 7) aparat fotograficzny produkcji polskiej, 8) interesują filatelistę, 9) wybranka Rusłana, 10) musuje, 13) przedsiomek, 15) współzałożyciel Rzymu, 17) dzielnica Warszawy z pałacem Jana III go, 18) w kominie, 20) kłopotliwa sytuacja, 23) okrutny zwierze, 26) flaga okrętowa o barwach państwowych, 27) mankament, 28) ryba, 29) zapisek, 30) reperacja.

PIONOWO: 1) część skoczni narciarskiej, 2) obiekt sportowy, 3) urzędowa ustalona stała opłata, 4) startuje z konopi, 5) krótki utwór poetycki o treści satyrycznej, 6) odcinek trasy alpinisty przebiegający w poprzek lub w skos stoku górskiego, 10) następstwo, kolejność, 11) wybitna osobistość, 12) neuroza, 14) postać z opery Paderewskiego, 16) stolica Baszkirii, 18) na przejeździe kolejowym, 19) składa się z kilku parafii, 21) pauza, 22) Polak starej daty, 24) szlak, 25) słuchacz seminarium duchownego.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem: „Krzyżówka nr 55”. Do rozlosowania: Komplet książek Zakładu Wydawniczego „ODRODZENIE”.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 49 — (3)

POZIOMO: Pegaz, Dumas, aliaz, serum, ukrop, samum, arezst, Santor, Rut, szachy, ebonit, bar, kakadu, kierał, atlas, album, komar, kefir, halma, arsen. PIONOWO: pasja, Gorce, zamsz, Film, Dżuma, Marat, saper, atrybut, usterka, rozga, socha, Niobe, oliwa, krach, kabel, damka, Iskra, remis, Turyn, lufa.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nagrodę w postaci kompletu książek wylosował: Pan Jan Pawlik, Oświęcim, ul. Solskiego 4.12.

Rozmowy z Czytelnikami

PANI MARIA NAWROCKA z *Zabrza* rozmawiała z „zaciętym” obrońcą celibatu księży i usłyszała, że księża nie powinni się żenić, ponieważ Chrystus nie założył rodziny i doradzał zachowanie „cnoty czystości”, naśladowali go w tym Apostołowie np. św. Paweł, a w Apokalipsie św. Jana czytamy o 140 tysiącach „wykupionych z ziemi” otaczających Baranka i śpiewających „pieśń nową” w nagrodę za to, że „z kobietami siebie nie splamili, bo są dziewicami” (Ap. 14, 1-5). Prosi o „wyczerpujące” wyjaśnienie tego zagadnienia.

Znamy cztery racje przemawiające za bezżeństwem kleru, lecz w wypadkach celibatu przymusowego należy je wszystkie odrzucić. **Racja pierwsza** to pogarda dla małżeństwa jako takiego — zarówno u duchownych jak i u świeckich. Małżeństwo jest samo w sobie czymś grzesznym, jest wymysłem diabelskim. Te racje podawały w pierwszych wiekach chrześcijaństwa pogańscy gnostycy, manichejczycy i neoplatonicy. Przejeli się nią ci chrześcijanie (na szczęście bardzo nieliczni), którzy uciekali od ludzi żonatyh jak od „zapowietrzonych” lub tredowatych, a kobietom kazali się nosić po męsku. Za ich poglądem przemawiałby cytowany tekst z Apokalipsy, gdyby go brać dosłownie. Wiadomo jednak, że nie wolno go tak tłumaczyć, ponieważ w Apokalipsie wszystko jest przenośnią (figurą, metaforą, typem itp.). Wszyscy egzegeci twierdzą, że autor nie ma tu na myśli fizycznych kontaktów seksualnych mężczyzn z kobietami, ale wierność i przywiązanie prześladowanych chrześcijan dla wiary w Chrystusa i do Jego Kościoła. Podobnie w Starym Testamencie prorocy grzechem cudzołóstwa nazywali oddawanie przez Izraelitów czci boskiej pogańskim bożkom. (np. Jerem. 3, 1-11). Nie jest możliwe, by Pismo św. sobie zaprzeczało, a to miałyby miejsce, gdyby w jednej księdze twierdziło, że kobietę stworzył Bóg, który nakazał się rozmnazzać (Księga Rodz. 1, 28; 2, 18-24), a w innej księdze kazało wierzyć w diabelskie jej pochodzenie i każdy z nią kontakt uznawało za „zmarzę”. Gdyby to ostatnie było prawdą, należało by wierzyć, że niebo jest wyłącznie dla mężczyzn i to bardzo nielicznych...

Druga racja celibatowa to kult dla cnoty dziewictwa (cnoty „czystości” seksualnej) uważanej za wyraz ascetycznego panowania nad najsilniejszym z popędów ludzkich (po żądzy jedzenia). Tej cnoty nie można nikomu narzucać, gdyż przestanie być cnotą. Tylko sam zainteresowany może sobie narzucić taką formę ascezy. Nakaz i przymus niczego tu nie załatwi. Dlatego też rzymskokatolickie prawo kościelne narzuca księżom cnoty dziewictwa, lecz tylko zabrania się żenić i prowadzić życie rodzinne w związku legalnym. Prawo to nie karze za naruszenie cnoty, lecz za klerogamie czyli ożenek księdza. Innymi słowy można by w ramach tego prawa — uprawiać rozpustę, byleby nie zawierać żadnego (kościelnego lub cywilnego) ślubu. Ale w takiej sytuacji nie widać sensu w podpieraniu celibatu cytowanymi Pismem św., które nie zna praktyki celibatu przymusowego, prawnego. Wszystkie cytaty biblijne, które można przytoczyć (jest ich bardzo mało — bo tylko dwa: Mat. 19, 12; 1 Kor. 7, 1-40)

w tej sprawie mówią wyłącznie o enocie dziewictwa, czyli o dobrowolnej wstrzeźmliwości i odnoszą się do wszystkich chrześcijan, nie tylko do kleru. Kto chce, będąc księdzem, ćwiczyć się w specjalnej ascezie, może spróbować, ale jeżeli się przekona, że nie daje rady, „niech zawiera związek małżeński, lepiej bowiem żyć w małżeństwie, niż płonąć w ogniu” (czyli uprawiać rozpustę) — tłumaczył Ap. Paweł (1 Kor. 7, 9). Gdyby więc chodziło naprawdę o kult cnoty w życiu księdza, powinno się go zachęcać (a nie zmuszać) do niej (a nie do celibatu), ale z pouczeniem, że nie będzie gorzej traktowany, gdy po kilku latach kapłaństwa przekona się, że nie daje rady. Nie na wiele przydaje się wskazywanie na przykład Chrystusa i Apostołów. Wiadomo, że Chrystus jest Bogiem, czyli kimś ponad te sprawy i bluźnierstwem jest łączenie go z problemem celibatu. Co do Apostołów, nie mamy nic pewnego. Możliwe, że się nie żenił (jak Ap. Piotr był wdowcem), ale i cóż z tego? Widać nie chcieli, a może nie mieli na to po prostu czasu. W każdym bądź razie nie ustanowili prawa celibatowego — chociaż tak wierzono od V do XIX wieku — a św. Paweł wyraźnie pisze o biskupach, prezbiterach i diakonach żonatyh (1 Tymot. 3, 2 i 11; Tyt. 1, 6), nauka „demonów” nazywając tych, którzy „zabraniają wchodzić w związki małżeńskie” (1 Tym. 4, 3).

Racja pierwsza i druga poczęto się zasłaniać w obronie celibatu IV wieku. Natomiast racje trzecia i czwarta wypłynęły dopiero w XI wieku i to wyłącznie w Kościele Rzymskokatolickim. **Racja trzecia** mówi, że celibatu domaga się „dobro pracy apostołowskiej”, ponieważ „mężczyzna nie obciążony rodziną może się bardziej zaangażować w pracę duszpasterską”. Poza tym, „człowiek samotny jest w pewnym sensie wolny, ryzykuje tylko swoją osobą i nie naraża swej rodziny na przeciwności losu, co jest zwłaszcza bardzo ważne w trudnych okresach, których — jak wiadomo — historia Kościołowi nie szczędzi” (Tygodnik Powszechny z 1.II.1970 r.). Jest to bardzo praktyczne rozumowanie pozabawione ludzkich względów. Ksiądz niezżonaty jest „wolnym” pionkiem kościelnych zwierzchników, wygodnym narzędziem w realizacji planów misyjno-duszpasterskich, karnym żołnierzem z radością oddającym życie na froncie walki o duże nieśmiertelne, inaczej bez obawy, że pozostawi wdowę i sieroty. Takich pionków, narzędzi i żołnierzy rzeczywiście potrzeba i to coraz więcej, ale skąd ich wziąć, skoro ich jest coraz mniej? Prawda, że powodem braku kapłańskich powołań jest powszechna sekularyzacja życia społecznego i kryzys wiary, ale należy pamiętać, że ksiądz mający powołanie też chce żyć jak człowiek, a nie jak robot lub manekin. A jeżeli stać go na specjalną ascezę, chce ją uprawiać dobrowolnie, bez bata ekskomunikacji.

Czwartą racją celibatowego przymusu było wykopanie przepaści (w XI wieku) pomiędzy klerem a laikatem. Gdy brutalnie odsunięto laika od współodpowiedzialności za losy Kościoła (ma się modlić, słuchać i dawać dziesięciny), każde małżeństwo księdza rzuciło pomost ponad tę przepaść, ksiądz się „bratni” z laikatem, świekry, ciotki i pociotki miały wgląd w

jego życie prywatne i rozpowiadały, że „ksiądz to też człowiek”. Ta racja prysnęła w epoce Drugiego Soboru Watykańskiego zarówno z powodu teorii o „dowartościowaniu laikatu” jak i z powodu „aggiornamento” czyli zejścia hierarchii z piedestału na niziny do Ludu Bożego, który coraz mniej rozumienia ma dla Kościoła biskupów i księży, a nawet dla religii w ogóle.

Nie są to jeszcze wszystkie myśli narzucające się w związku z dyskutowaną ostatnio sprawą celibatu. Wykazaliśmy jednak, że celibatu nie musi się odrzucać, można go praktykować, ale zbędna jest rzeczca zajmowanie się nim na szczeblu najwyższym. Niechaj pozostanie prywatną sprawą każdego księdza jak prywatną rzeczca jest ożenek lub starokawalerstwo wiernych świeckich.

PANI BRONISŁAWA SZCZEPAŃSKA z *Rady Śląskiej* nie może się pogodzić z twierdzeniem, że historia chrześcijaństwa nie zna jednego Kościoła ogólnochrześcijańskiego w znaczeniu jednej organizacji, mającej jeden tylko ośrodek władzy naczelnej. A przecież tak było i tak jest, chociaż wcale nie musi tak być w przyszłości. Podobnie jak po dziś dzień nie ma jednego naczelnego rządu światowego dla wszystkich państw świata, tak samo nie ma, bo i nigdy nie było jednej głowy Kościoła Jezusa Chrystusa, której by słuchali Kościoły krajowe Zachodu i Wschodu, Południa i Północy. Wobec tej prawdy nie można przyjąć twierdzenia, że ten czy ów Kościół krajowy „oderwał się” od Kościoła Rzymskokatolickiego lub od Watykanu. Gdy po śmierci rodziców któreś z rodzeństwa chce rządzić braćmi i siostrami, słusznie jest potępiane mianem tyraństwa i odrzucane. Zarówno Ojcowie Kościoła jak i ekumeniczne sobory (siedem) nie znają jednej głowy chrześcijaństwa, chociaż biskupi Rzymu od V w. czynili wszelkie wysiłki narzucenia swojej władzy całemu Kościołowi Powszechnemu. I teraz, gdy rzymskokatolicki teolog uczy, że zawsze temu Kościołowi przewodził Rzym, cytują wyłącznie wypowiedzi samych papieży...

Z jednością organizacyjną, zewnętrzną, nie należy mieszać jedności wiary — wewnętrznej. Jest prawdą, że w sprawach nauki wiary Kościół był jedynym aż do XVI wieku, gdy Reformacja odrzucając wiele szkodliwych zwyczajów rzymskokatolickich, wyrzuciła też sporo prawd wiary katolickiej, których się trzyma nie tylko rzymskokatolicyzm. Bardzo poważny cios jedności wiary zadał Pierwszy Sobór Watykański przed stu laty, gdy do katechizmu wstawił sprawę administracyjno-prawną: prymat jurysdykcyjny. Wobec tego dogmatu nie ma widoków na zjednoczenie nawet tych Kościołów, które wyznają zasady wiary katolickiej (prawosławie, starokatolicy). Pozdrawiamy.

SPROSTOWANIE

W artykule „Intronizacja Metropolity Bazylego” wkradły się następujące błędy korektorskie:

Wydrukowano „aksios” — „gdzie jest”, Atenagoras, Ks. bp Pękachla. Powinno być „aksios” — „gdzie jest”, Atenagoras, Ks. bp Pékala.

Za te przykre pomyłki Ks. bp Pékala, autora artykułu i Czytelników serdecznie przepraszamy.

Redakcja



Wydawca: STPK Zakład Wydawniczy „Odrodzenie”. Dyrektor i Redaktor Naczelny — mgr Danuta Iwanowska. Redaguje Kolegium. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Kredytowa 4, telefon 27 03 33. Warunki prenumeraty: Prenumeraty na kraj przyjmują urzędy pocztowe, listonosze oraz Oddziały i Delegatury „Ruch”. Można również dokonywać wpłat na konto PKO Nr 1-6-10020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23. Prenumeraty przyjmowane są do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Cena prenumeraty: kwartalnie — 26 zł, półrocznie — 42 zł, rocznie — 104 zł. Prenumeratę za granicę, która jest o 40 proc. droższa — przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23, tel. 24-46-88, konto PKO Nr 1-6-10024. (Roczna prenumerata wynosi dla Europy 2 dol.; 13,20 DM, 23,40 NF; 1,13 £; dla St. Zjednoczonych i Kanady 7 dol.; dla Australii 24,5 £A, 29,4 £E). Można również zamówić prenumeratę, dokonując wpłaty na konto Zakładu Wydawniczego „Odrodzenie” Nr NBP III O/M Warszawa, nr 1551-6-35286. Nie zamówionych tekopisów, fotografii i ilustracji redakcja nie zwraca. Nr indeksu — 7518.

Skład i łamanie: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa”, Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Druk: Zakład Włókiodrukowy RSW „Prasa”, Warszawa, ul. Okopowa 88/72. Zam. 747 K-36



Ten Wielkoponiedziałkowy zwyczaj oblewania się wodą, nie jest wprawdzie tradycją polską — przywędrował bowiem do nas z Niemiec przed wiekami, lecz bardzo szybko przyjął się i nic nie wskazuje na jego zmierzch.

Trudno wprost sobie wyobrazić świąteczny poniedziałek, bez krzyku oblewanych dziewcząt, śmiechu chłopców i całej tej głośnej wrzawy. Faktem jest jednak, że zbyt często dyngusowe polewanie odbywa się z umiarem, ale i dawniej było podobnie.

W średniowieczu doszło nawet do potępień i zakazów kościelnych zwyczaju dyngusowego, bo ponoć — „...dochodziło przy tych swawolach do scen nieprzyzwoitych, część niewieścią obrażających, a i do wypadków na szwank zdrowie i życie

narażających” — jak pisał ówczesny kronikarz.

W XVIII wieku dyngus przybrał już bardziej spokojne i cywilizowane formy — „była to swawola — pisze o śmigusie ks. J. Kitowicz — powszechna w całym kraju, tak między pospółstwem, jako też między osobami dystygnowanymi. W poniedziałek wielkanocny mężczyźni oblewali wodą kobiety, zaś we wtorek i inne dni tygodnia kobiety oblewały mężczyzn”. Po wsiach zaś, co zresztą i do dziś jeszcze przetrwało — chłopcy łapali dziewczęta i wlekli wręcz do studni, albo co gorsza nad staw, lub nad rzeczkę i lali wodą dopóki im się podobało.

W miastach i miasteczkach, młodzież płci obojga, czatowała (co zresztą i do dziś czyni) na przeciekających z butelkami, garnkami, cebrzykami, ba nawet i z sikawkami strażackimi. Ze najbardziej poszkodowanymi były w tej wielkanocnej zabawie — dziewczęta to fakt oczywisty, ale też w wielu okolicach traktowały one sam fakt oblewania wodą przez chłopców za szczególne wyróżnienie. To też gdy któryś z amantów nie oblał swojej dziewczyny, często słyszał z jej ust następującą przyspiewkę —

*Żalowałeś kapki wody,
Precz ode mnie,
od urody
Nie potażę do
dożyneków
Z Tobą niemrawo
Jasinku*

W pałacach magnackich, dworach szlacheckich, czy komnatach bogatszych mieszczan — zwyczaj dyngusowy ograniczył się z czasem do symbolicznego pokropienia wodą różaną, chociaż często i tam nie skąpiono wody i zlewano się do suchej nitki. Później zaś były migreny, katar i leżenie w łóżku, a więc ostrożnie z dyngusem. Bez przesady.

K. S.

Śmigus — Dyngus

„Smigus” — mal. Hipolit Lipiński (1846—1884).

Fot. Muzeum Narodowe w W-wie

